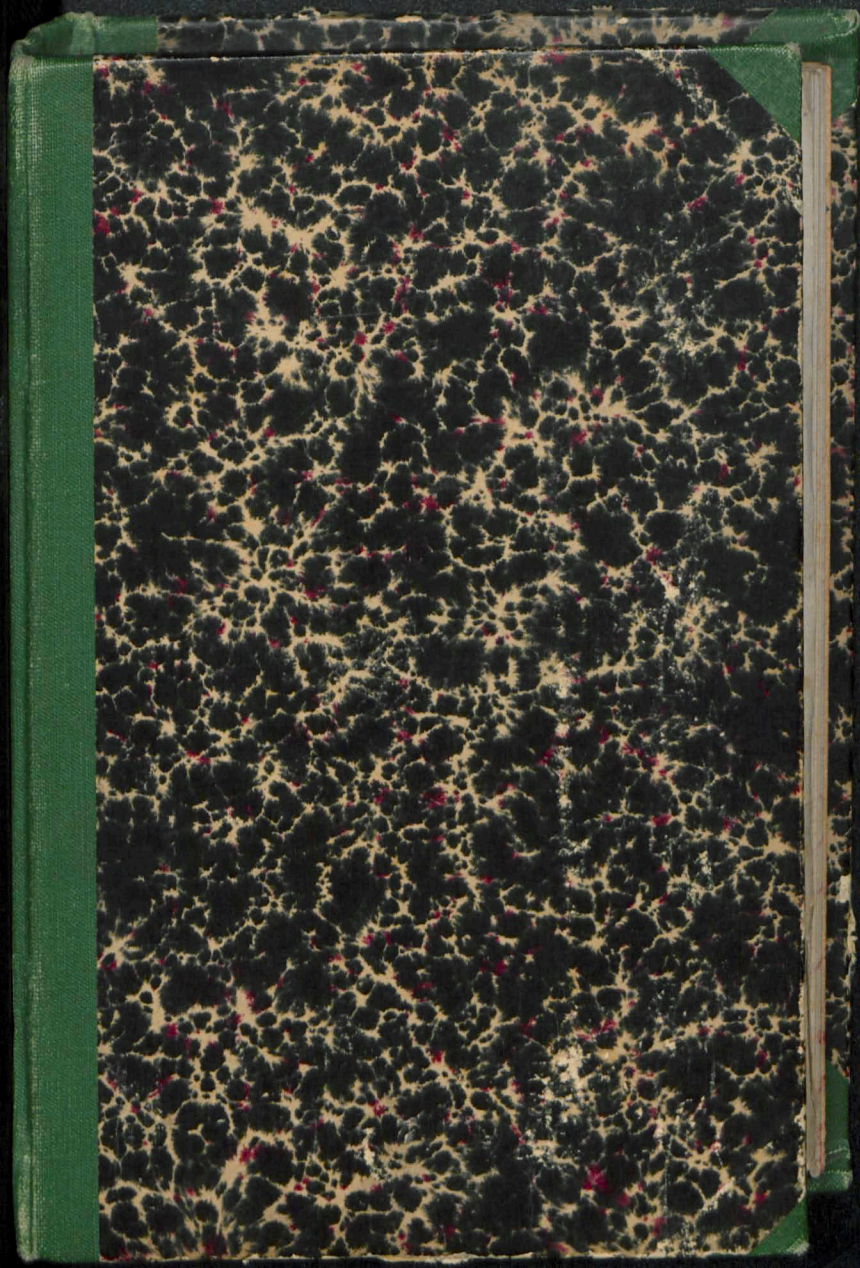




ŁADOWA PIECZARA.

ŁADOWA PIECZARA.

OBRAZEK WIEJSKI

przez

J. I. Kraszewskiego.

Amplius invenies in silvis, quam
in libris.

S. BERNARDUS.



WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1852.

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy.

Wilno 14 Czerwca 1852 roku.

Cenzor, Paweł KUKOLNIK.



MV/91/2158

DO
Mego kochanego Brata
KAJETANA
KRASZEWSKIEGO

w Romanowie.

W zamian za twoje pieśni, posyłam ci kochany Kajetanie, powiastkę najaką mnie stało. Nie wiem jak się ona ludziom i tobie podoba, ale to pewna, że ten drobny dar ofiaruję ci braterskiem sercem,

braterską dłonią. Przyjm go jako dowód
szczerego przywiązania do ciebie.

Twój

9 Października 1851.
Hubin.

Józef.

Niedaleko Oleska; sławnego urodzeniem Jana
trzeciego i Podkamienia, niemniej głośnego cu-
downym obrazem, bliżej jednak granicy, któ-
ra nas od Galicyi przedziela, leży niewielka
wioska zowiąca się Stare. W istocie jest to
może jedna z najdawniejszych osad w tej oko-
licy częstemi najazdami Tatarów zniszczonej,
bo i dzieje wojenne XVI i XVII wieku wspo-
minają o niej kilka razy, i miejscowe ślady do-
wodzą, że nie od dziś skupili się tu ludzie do
życia, pracy i cierpienia wspólnego. Ma ona
wszystkie znamiona odwiecznego sioła: oto-
czona mogiłami w różnych kierunkach rozsy-
panemi pojedynczo i gromadnie, na których

już potężne drzewa porosły; wśród zarośli i błot, ma zapadłe, ale jeszcze dobrze widoczne horodyszcze, gdzie i dziś dobywają czasem kamienne siekiery i spisy; a nazwania uroczysk tutejszych wieją wspomnieniami odległej przeszłości. Tak w lasach wyniosłość jedna zowie się Ładowym gajem, inna Lelową kontyną; dolina nie opodal od wioski nosi miano Wiecowego dębu; w gajach też, które grunta wsi okalają sznurem gęsto zarosłych dębów, klonów, lip i brzeziny, rozrzuconych w części po wzgórzach, w części na równinach, są ślady pieczar ręką ludzką wyżłobionych i niezmiernie daleko rozciągających się, są reszty odarnionych usypów jakichś i omszonymi kamieniami wysłane smętarze. Sami mieszkańcy osady różnią się wielce, nawet od najbliższych swoich sąsiadów, tém zwłaszcza, że się u nich zachowały zapomniane gdzieindziej zwyczaje, podania i obrzędy dla nas już niepojęte, ze czcią i troskliwością szczególną z pokolenia w pokolenie przekazywane. W twarzach wieśniaków ze Starego maluje się jakaś powaga smętna, którą przyjęta puścizna przeszłości, na lice żywych pokoleń przelewa; ja-

kieś uczucie godności własnej, gdzieindziej przytłumione, tu wybitne; rzekłbyś, tajemnicza jakaś wiedza o przebytych losach świętniejszych, o zagastych w zamierzonych już dla wszystkich dziejach, dniach blasku, o których złota nie podania przelała coś wnukom na pociechę w niedoli i upadku. Nikt się tu przecie nie poddawał z niczém, owszem skarb swój cenny, ukrywa w głębi duszy, ale radość posiadania go, tryska z oczów, oblewa czoła pocziwاً jakąś dumą spokojną.

Strój tutaj ten sam co na sąsiednim Wołyniu i Rusi pobliskiej, niczém się wybitnem nie różni, krom może użyciem czerwonych obszówek, pasów, i ozdób stałej tu i wyłączniej noszonych, a surowszym krojem; do którego się nie świeższego, nie nowego wymysłu nie domiesza. Mężczyźni nie kupują po miasteczkach nie gotowego i na tandet sporządzonego, nie przywołują wędrownych krawców, by im szyli misterniejsze świty nakszałt kapot mieszczańskich; w kilku rodzinach od pradziadów utrzymuje się krawiectwo dziedzicznie, a szycie i wdziwanie nowej siermięgi dopełnia się z pewnemi tajemniczemi obrzędami. Kobiety na-

wet na dnie powszednie nie pozwalają sobie chustek i kryją głowę pod starodawną namiotką ściśle twarz opasującą, której zarzucenie, długość końców, wzorzyste szycia i najmniejsze ozdoby mają jakieś znaczenie i formę odrębną, niezmienną. Słowem, zachowała się tu więcej niż wszędzie, cześć dla przeszłości, znać ją w obyczajach nawet, znać w spełnianiu najcięższych obowiązków, od których nikt się wyłamać nie może; a komu one za straszne, ten się wynosi i wygania na zawsze; bo inaczej wolen od nich być nie może. Rzadkie są jednak przykłady dobrowolnego wygnania.

Gdzieindziej duch dawnej gminy słowiańskiej zupełnie już zwietrzał i uleciał; gromada choć się jeszcze mianuje wielkim człowiekiem wedle znanego przysłowia Rusi, nie poczuwa się do spójni braterskiej i nierozzerwanego związku; tu z zadziwieniem trwa jak za starych wieków, i wszędzie się czuć daje, przy każdej pojedynczej czynności. Znaczenie starców większe jest niż gdzieindziej, uchwała ich nie znajduje oporu u gromady, a wola spełnia się w cichości ze ślepym posłu-

szeństwem. Ten, od którego mam następującą powieść, postrzegał także, iż w Starém od niepamiętnych zapewne czasów istniejąca, trwała pogańska jeszcze może jakaś instytucja, w skutek której był zawsze we wsi jeden głową i naczelnikiem gromady. Szanowano go jak urzędnika, niemal jak kapłana; a z kilku o których się domyślano, że takimi starszymi byli, choć często z najuboższych pochodzili rodzin, żadnemu nie zbywało na osobistych przymiotach, które ten wybór (jeśli jaki był) zupełnie usprawiedliwić mogły. Urząd to nie był jawny, głowa gminy bowiem niczem się nie odznaczał od braci, spełniał owszem wszystkie obowiązki względem dworu i kraju na równi z innemi, nie okazywano mu widocznie żadnej czci szczególnej, jednakże w każdej ważniejszej sprawie ogół obchodzącej, biegli tajemniczo do niego i nie się bezeń nie stało. Zapytany, nikt się nie przyznał, żeby miał obowiązek jakiś do starszego się odwoływać, widocznem jednak było dla pilniejszego oka, iż gmina czekała jego rozkazów. Kiedy go przypadkiem w chacie nie było, zwlekano różnemi sposobami, dopóki nie po-

wrócił, choć nikt nie mówił o tej władzy, którą nad sobą uznawał. Usilniej badani mieszkańcy Starego, wypierali się przed obcymi i narad i zwierzchnika swego. — Ot, zwyczajnie, mówili, poradziemy się czasem siwych, bo to u nich taki przecie z wielu lat przebytych, coś pozostać musiało, wiedząc oni jak się co poczyną i jak się kończy, przeżyli wiele.

Potem cichaczem o zmroku schodzili się starcy do naczelnika, gdy powrócił, i nazajutrz gromada jednozgodnie już wiedziała co począć, a nikt ani na żart nie sprzeciwiał się postanowieniu ogólnemu.

Szczególnym trafem wieś, o której mowa, od lat niepamiętnych zostawała w imieniu Stareńskich, którzy widocznie od niej nazwisko swoje wziąć musieli. Gdybyśmy z dawnymi heraldykami naszymi przypuścić mogli, że są charaktery odróżniające całe rody szlacheckie, (bo to była wiara kilku wieków u nas, że rodem kurki czubate), Stareńscy doskonaleby to założenie poparli. Z ojca w syna, byli to ludzie bardzo do siebie podobni naturą: spokojni, poczciwi, łagodni, nie pragnący wiele, a wszyscy myśliwi namietni. Dziwnym losów

wypadkiem, w przeciągu lat trzechset żaden Stareński więcj nie miał nad jednego syna, i z kolei tak syn po ojcu spokojnie wioskę dziedziczył. To także dziwne, że żaden z nich, pomimo że się poświęcali z innemi razem służąc krajowi życiem i mieniem ochotnie, nie stracił ojcowizny, ani jej nawet nadworeżył, choć się prawda nie też i dorobić nie mogli. Stare trwało w ich rękach nieodłużone, niepodzielone, w dawnych swoich granicach, zdając się uragać sąsiednim majątnościom, które co lat kilka szły na sprzedaż, kawałkowały się, mieniały panów i przechodziły z rąk do rąk. Stareńscy trochę tém byli dumni, a może ten rodzaj dumy zbawiennie na nich działał, wzbudzając przywiązanie do starego gniazda i wlewając zawczasie przekonanie o potrzebie, o konieczności zachowania spadku całym i nie naruszonym. Nigdy też żadnemu z nich na myśl nawet nie przyszło, żeby mógł wioskę sprzedać, tak się im zdawało niepodobnem, by je kto inny posiadał; i gotowi byli do największych ofiar, byle nie ruszać się z siedziby uświęconej poczciwym żywotem pradziadów, usłanej ich kośćmi, polanej krwawym ich

potem. Wieki posiadania zadzierzgnęły silnie węzeł serdeczny między rodziną panów a włościanami. Stareńscy byli łagodni i poczciwi, lud też ich otaczał poszanowaniem, miłością i uważał za starszą bracią tylko. Od niepamiętnych czasów żaden z wieśniaków woli się ich nie sprzeciwić, prawda, że i oni nie nigdy nie żądali nad słuszną należność ograniczoną jeszcze wyrozumiałemi względami na stan, położenie i okoliczności. Często bardzo lata głodu i nieurodzaju na Wołyniu, tu się czuć nie dawały; Pan miał sobie za obowiązek ratować wioskę, wioska byle się obejrzała, że panu nie dostawało, wysyłała zaraz do dworu z ofiarą chętną, serdeczną i tak usilną, że się od niej nie sposób było wymówić.

Ten stosunek na wzajemnym przywiązaniu ugruntowany, dawał się czuć we wszystkim; robót gospodarskich nikt prawie nie doglądał ze dworu, bo sami starsi gospodarze mieli oko na młodszych i nie pozwalali im się opuszczać; nie wiele nawet rozporządzać było potrzeba, bo w gorącej porze co żyło roilo się do roboty ochoczo, żywo, gromadnie,

nie pilnując dni i godzin, byle co rychlej panu zrobić co potrzeba i uspokoić go.

Ciche, jednostajne, spokojne, szczęśliwe powiem prawie, wiodło się tu życie; nigdy go nie zasmuciła zbrodnia, występki, niechęć, gniew i walki, których tak wszędzie po świecie pełno. Oko wszystkich pilnowało każdego, a każdy też czując na sobie obowiązek przedstawienia ogółu w jak największym blasku, strzegł w sobie cząstki poważanej całości. Bóg dał temu ludowi panów, co go i cenić umieli i sercem przyłgnęli do niego.

W ostatnich czasach, gdy się powieść nasza zaczyna, Stare wyglądało na to, czém w istocie było, na dawną a szczęśliwą osadę; pierwszy rzut oka przekonywał o jej możliwości, o dobrym bycie wszystkich, a widok tej wioski okrytej zielenią, gajami i sadami, schludnej, zabudowanej porządnie, wzbudzał mimowolnie ciekawość i zajęcie; wyrывał westchnienia nie jednego wędrowca zabłąkanego w ten ustronny kątek.

Wies leżała po dwu stronach dość głębokiego parowu, którym toczyła się droga; rozsypana była po wzgórzach, a tak osłonią

gęstemi drzewy, że ledwie gdzieniegdzie ujrzałeś róg stodołki, białą ścianę chaty, wysoki żóraw studni, lub żółtą czapkę małej stértki w toku wieśniaka.

Ścieżki malownicze, kręte, na tle zieleni szém migające gliniastemi barwami, wiły się ku górze w różnych kierunkach, gdzieniegdzie obwarowane poręczem, lub wystane schodkowaniami złomami wapienca. W jednej stronie wsi na pagórku, ciemnych lip koło na wyżynie, domyslać się kazało dworu, w drugiej błyszczał niewielki kościółek podparty szkarpami napół z cegły, wpół z kamienia wznieiony, a widocznie bardzo stary. Oślepte dziś strzelnice, wąskie okna, śpiczasty dach i wieżycy nie bielona, uderzały fizjognomją czasów odległych. Stał on na wzgórzu oberwanem i przeglądał się w zwierciadle dużego stawu, którego nieregularne kształty i kapryśne wygięcia, podobnym czyniły do wielkiej rzeki. Nieopodał zaraz szumiął młyn czarny, osiadły na wyjedzonych od wody palach, o jednym kółku, ale niedźwiadek mruczający ciągle, od wylewów wiosennych, do późnej jesieni, mruczający przez zimę całą, którego woda ani pod-

topić nie mogła, ani mu też jój kiedy zabrakło.

Dwór stał otoczony wałami i choć nie miał już najmniejszego do zamku podobieństwa, lud go nazywał zameczyskiem po staremu, lub horodkiem jak przed wieki. Stare lipy rozrosłe po zielonych usypach, wiankiem okazały domostwo niskie, szerokie, z piętrowym dachem i dwoma gankami; obok niego była kuchnia po staroświecku jeszcze sklepiona z olbrzymim przysadzystym kominem, oficyny i skarbczyk, zapewne pozostałość z owego mystycznego zamku, bo i kształt jego i położenie wydawało, że był dawniej narożnym bastjonem. Pół okrągły z maleńkiemi strzelnicami w wyższej swjej części, ciemnej od dołu i jednemi tylko opatrzone drzwiami, dzielił się na trzy izby sklepione, z których górna służyła na skład sprzętów, dolna za wnijsie do lochu i na piętro, a ostatnia była po prostu piwnicą. Śpiczasty dach gontowy mocno już podziurawiony, okrywał jeszcze jak mógł silne sklepienie, które nie wiele dbało, że mu czasem dęszcz dokuczał. Na samym wierzchołku chorągiewka herbowna Stareń-

skich, choć zerdzawiała, powiewała jeszcze czasami, gdy silniejszy wiatr ją obudził.

Naprzeciwko samego dworu, w próżni między dwoma końcami wału, był także ślad grubego muru, zapewne stariej bramy zamkowej, lecz zamiast mostu zwodzonego, na fosie już usypana grobla wiodła ku górze. Woda, widać dawniej z niedalekiego przyprowadzona stawu, teraz zupełnie była wyschła i prócz kilku głębszych kałuż deszczem podsycanych, wszędzie zielona murawa uścielała przekop, tu i ówdzie gęstymi krzakami łoży porosły. Stary dworzec był jak wiele innych naszych domów starych, wpół murowany, na pół drewniany, krzepki jeszcze i trzymający się prosto, mimo lat które pamiętał — były w nim i owe sieni ogromne dla czeladzi przyjezdnej i komnatki nie wielkie dla gospodarzy i alkowy i bokówki i zakomórki różne i kapliczka nawet do jednego końca od ogrodu przylepiona za któregoś Stareńskiego, co paraliżem tknięty, do kościołka na mszę świętą dojsć ni dojechać nie mógł.

Na wałach z tej strony ku stawowi rozciągał się obszerny ogród na kondygnacye za-

łożony, i sad wzrosły bujnie, ale cały z drzew zbyt już postarzałych. Widoków było mało, ale też w owe czasy myśmy widoków z domu nie potrzebowali; napatrzył się dość światła człowiek wycierając go z szablą w rękę, a gdy do siebie powrócił, to mu miliej było w zielonej zaciszy ukrytemu odpocząć. Dziś wcale inaczej:— patrzymy daleko w boży świat, patrzymy próżnując z założonemi rękoma w siną dal, jak gdybyśmy chcieli żeby z niej do nas co przyleciało, i lubiemy widoki z okna, bo się po nie dalej nie pokwapim sami— musim je sobie do izby sprowadzić. W jedną tylko stronę między drzewa, oko wybiegnąć mogło— a tu widać było gumna, stodoły, spichlerze i zabudowania gospodarskie. Dziedziczna izba gospodarska, którą zajmowali jeden po drugim Stareńscy, wychodziła właśnie jedynem oknem swém w ulicę wiodącą na toki.

Takim był dwór, taką wieś była, ale jej jeszcze nie znacie, boście ją widzieli jakby we mgle i zdala rozwieszoną na pagórkach, i okrytą drzewami. Cudneż to było sioło! jakie Bóg tylko posiał po Wołyniu i to nie wszę-

dzie. Innym braknie lub wody, lub lasu, lub ziemi dostatku, że się u drugich zapożyczać i kłaniać muszą sąsiadom; tu wszystkiego w bród było, bo i paliwa i budulca, i wody czystej a zdrowej dla ludzi i chudoby, i urodzajnej, czarnej, pocziwiej ziemi szmat taki, że jej obrobić nie było podobna; a jakby na świadectwo żyzności, rodziły się po miedzach i pod płotami bodiaki w chłopa, rzekłbyś owe kaktusy kolczaste, które ogladałeś może na malowanych krajobrazach Algeru i Sycylii. W sadach grusz i śliw jak w lesie, a i las miał też owoce swoje i gdy przyszła Boża wiosna, to od czereśni zakwitłych jakby go mąką posypał; a w Czerwcu potem jagód było dla ludzi, dla ptaków i dla robaków nieprzejedzonych. A bór też to kochany! czego w nim brakło? Jakby go malarz sadził, jakby Bóg nim stracony raj chciał przypomnieć; dęby odwieczne pogarbione i połamane, jak dziadowie, brzozy powyginane gdyby dziewczęta w tańcu, i przysadziste, poważne, wonne lipy i graby z gładką korą a gęstym przepysznej zieleni wieńcem, i osiki wysokie a wyprostowane w popielatych sukienkach, miej-

scami nawet przybłąkana z daleka jakby z musu rosła daleko od swych towarzyszek sosna, zimą i latem strojna jak na wesele. Między tą starszyzną leśną, co pokaleczonych czereśni, co krzywych jabłoni i grusz, a dołem ile prześlicznej niepoliconej drobnoty! króluję tu głóg, tarnina, orzech, trzmielina, kaliny i jarzęby, a niżej jeszcze kwiecica jak na ołtarzu na Zielną. I jakie tam kwiaty! nie mają takich pańskie ogrody pyszniące się zagranicznymi przybyszami — lecz któż bogactwo ich i różnaitość wyliczy! wszedłszy w gaje już się nie chce wychodzić, taki tu jakiś szmer do serca przemawiający, taki chłód ożywny, taka woń rajska, tak oko lubuje się w obrazie Bożej ręki nieskończonym różnaitością, choć na wejrzenie jedną szatą okrytym.

Gdzieniegdzie zielone pod dębami rozciągające się łąki, wśród których u pni spruchniałych bujają młode odrośle dopominając się o swoją dawniej ziemię; to znów gęszcz nieprzejrzana, w której ciemniach tajemniczych gubi się ciekawe oko; dalej parów, a na jego ścianach wieńcami zwieszzone chmiele i

wonne białe powojki — to góry różnych kształtów piętrzą się nad głową, i rozstępują nagle pod nogami poszarpane przez potoki odsłaniające rozpadliny. Idziesz zamyślony, zapatrzone, tęskny a szczęśliwy, a gdy rozsuną się przed tobą drzewa i światło słoneczne buchnie ci w twarz, a żar dzienny obleje twe ciało, to się obejrzysz za lasem jak za domem i potęknisz za nim, a pola wydadzą ci się smutne i nagie.

Lasy są jak marzenie i poezja ziemi, role czarne jak rzeczywistość naga i smutna.

Stare, było tak piękne, jak rzadko wieś która, i właśnie taki je gaj prawie ze wszech stron otaczał, po nad granicami rozłożywszy się na straży.

Jak to u nas najczęściej, nie w pośrodku ale ku jednemu bokowi bliżej granicy swój, rozłożona była osada, a wioska łączyła się ogródkami z lasem co ją opasywał i od sąsiada oddzielał.

W tém spokojném ustroniu, które na szczęście jego może, nie przerynał żaden gościniec większy, żadna droga handlowa, wrzawę i żywot miejski niosąca, a z tym żywotem zepsucie — kilka pokoleń wieśniaczych i

kilka pokoleń dziedziców, przemarzyli i pracowali długie lata w niezamaconém szczęściu i pokoju, na jednym smętarnu kładąc się na wiekuiсты spoczynek, przykryci jednemi kamieniami, na których siadali za życia obok siebie. I darń równie zielona i bujna wieńczyła mogiły panów i wieśniaków rzędem sypane przy sobie.

Dom państwa Stareńskich miał naówczas głową swą pana Joachima, już nie pierwszjej młodości człowieka, który przeciwko zwyczajowi swych przodków, jakoś leniwo brał się do ożenienia. Prapradziad, pradiad, dziad i ojciec, wszyscy w dwódziestym szóstym roku życia poculi wolę Bożą i postarali się o pocziwe połowice; panu Joachimowi jakoś od dnia do dnia trudniej było o postanowienie.

Wziął on w spadku po ojcu zamiłowanie myślistwa nadzwyczajne, do którego że od dziecka się wdrażał, tak wreszcie opętał go ten nałóg, że o niczém inném nie myślał, do niczego innego już czasu nie miał tylko do polowania. Odumarli go młodym bardzo rodzice, kiedy ze szkół zaledwie wychodził; zostawiony sam sobie, bo opiekun pocziwy

człowiek ale pospolity, o nic się nie troszczył, tylko ażeby jego pupill majątku nie stracił — oddał się pan Joachim namiętnie łowom, do których wszelki przybór, zapasy i ułatwienia znalazł w domu. Gniazdo gończych, chartów i wyżłów najslawniejsze było w Starém i najtroskliwiej utrzymywane od niepamiętnych czasów; konie miał w stadzie prześliczne i wyborne, strzelb nie brakło na ścianie, a ludzie dworscy zachęcali do łowów, bo sami lubili je nałogowo, nawykłszy do nich za staro pana.

Tak pan Joachim przepolował dobrych lat kilka, ledwie się rzadko za dom ruszając i to chyba z musu, a gdy mu przyszło tydzień jaki przebyć niesłyszając gonu swych piesków i nieodetchnawszy wolném lasów i łąk powietrzem, to żółkł, nudził się, chorował i ziewał, a tak potém śpieszył do Starego, że nieraz konie poochwacał. Nazajutrz rano odzywała się trąbka w ostępie i cały już Boży dzień zszedł ze strzelbą na ramieniu. Tém życiem strzeleckiem wyrobił on w sobie siły i zdrowie, ale ogorzał i zdziczał; już go codzień więcej towarzystwo sąsiadów mieszało,

a choć gości u siebie rad przyjmował, nieraz ziewnął w rękaw nim się ich pozbył, jeśli z niemi polować nie mógł. Sama postawa pana Joachima okazywała wieśniaka do zbytku zadowmionego, nie dbał bowiem o strój wcale i nie brzydką twarz opalił na cygańską, a że mu włosy nieraz zawadziły w lesie, strzygł je króciuteńko, żadnego wykwinu około siebie potrzeby nie czuł, w sposobie życia i ubiorze najprostszym się obcho-dząc i wyglądał całkiem na leśnika. Ale pod niepozorną szorstką powierzchownością, biło serce pocziwe, litośne, gorące, w którém głębokie uczucie dojrzewało nie wylewając się na zewnątrz, i małowówny a skromny, nie był tak ograniczonym jak się wydawał. Obcowanie z prostym ludem upoetyzowało wyobraźnię jego, napełniło głowę mnóstwem tradycyjnych wiadomości, zdrowemi zasady świat kmiacego, zasiało rolę żyzną jego umysłu, pracującego w ciszy i skupieniu wewnętrzném. Tak doszedł sobie lat trzydziestu i ani mu się zamarzyło o ożenieniu; gdy jednego poranka jesieni, ujrzał w zamku zebraną gromadę swojej wioski, której kilku siwowłosych

gospodarzy przewodniczyło. Zdziwiony ich przybyciem, pośpieszył ku nim z niejakim niepokojem nawet, bo szukał po głowie coby im braknąć mogło, czego by żądali, wyrzucając już sobie że się tego sam wprzód niedomyślił. Gromada stała w ganku (niebardzo licznie jakoś zebrana), niemniej zakłopotana od pana Joachima wszyscy, spoglądali po sobie jakby radząc się, jeden popychał drugiego łokciem naprzód, skrobali się po głowach; widać było że to z czém przyszli nie łatwo im szło wypowiedzieć.

— A! coż mi to powiecie? co chcecie moi kochani?— spytał żywo dziedzic przybliżając się do kupki wieśniaków.

Milczeniem i ukłonem odpowiedzieli mu tylko.

— No, mówcie proszę, bo mi tęskno i tak na sercu, że ot czegoś sam się wprzód dla was niedomyśliłem, aż mnie prosić musicie.

Znowu pokłonili się starsi, zdawali zachęcać wzajemnie by przemówił który, ale zamilkli; pan Joachim wielkimi na nich patrząc oczyma:

— Ale coż u Boga tak strasznego, że mi

i mówić nie śmiecie, — rzekł coraz bardziej niespokojny — może krzywda jaka? zmiłujcie się, śmiało, otwarcie mi mówcie.

— A! chowaj Boże! — ozwał się jeden z ludzi — i urwał. Znowu milczenie, szepty tylko i nikt nie śmiał wystąpić.

Stał na przedzie sędziwy Iwan Hołowaty, do niego więc przystąpił pan Joachim.

— Mój Iwanie, — rzekł — bądźże śmielszy od innych; wiecie że ze mną wszystko mówić i co chcecie zrobić możecie, do czegoż ta nieśmiałość. Mówcie, proszę was.

— Mówciebo wy Iwanie, — dodał sąsiad.

— A czemuż to wy nie chcecie? — odparł stary.

Poskrobali się w głowę, czapki dusili w rękach, ani się słowa z nich dopytać. Nareszcie Fedko Gruzda wymówniejszy i śmielszy od innych, widząc że te ceregiele niecierpliwią pana, wysunął się przed drugich, i tak rzecz zagaił kłaniając mu się do kolan.

— Kochany panie, nie uważajcie... my tu nie przyszli z żadną skargą ani z żalem, chwalić Boga mamy zadość wszystkiego, a za ciebie jak za rodziców twoich żadnej krzywdy.

Ot przyśliśmy tak, jakby to powiedzieć (tu się zaciął mówca) do serca pańskiego — dodał po chwili.

— A czegoż to żądacie moi mili, od tego serca? — zapytał zdziwiony pan Joachim.

— Kiedy nie nad nami, to nad naszymi dziećmi niechajby się ulitowało.

— Fedku, ja ciebie nie rozumiem.

— Możem źle powiedział, ale pozwólcie to ja się jakoś roztłumaczę. Dobrze nam było z twojemi dziadami i rodzicami panańku, niech Bóg duszom ich świeci, dobrze nam z tobą, a mamyż my albo dzieci nasze, pójść na poniewierkę w obce ręce jak drudzy...

— A jakżeby to być mogło! — ofuknął się pan Joachim.

— Jednakże to być musi, kiedy się nad nami nieulitujecie, — rzekł Fedko powoli coraz śmielej. — Czasby wam, powiedziawszy prawdę ożenić się; ot z czém my przyszliśmy panańku.

Pan Joachim się uśmiechnął, słodko spojrzął po gromadzie, która mu potakiwała jeśli nie słowy to twarzami i oczyma, i tak dalej ciągnął:

— Tak, tak, z témto my przyszliśmy, nie-

mało razy myślelim o tém i szeptali między sobą, ale do pana przystąpić, a jeszcze z taką prośbą nie rażno; a tu i czas upływa i roczki idą jedne po drugich, a panisko nasze o tém nie duma, potrzeba było nam tę piosnkę zaśpiewać nareście. Jak się tak postarzejecie, to się wam później już żenić nie zechce, a któż nam będzie panował? My chcemy wyhować sobie nowego pana, jakeśmy ciebie wychodowali; o! to nic nie pomoże.

Pan Joachim dziwnie jakoś, choć dobrze to przyjął od swoich ludzi, uczuł że mu przypomniano obowiązek; pomyślał że mu to serce pierwsze powinno było oznajmić, a to dotąd nie zadrżało dla nikogo; zafrasował się nieco i łagodnie tylko na pokrycie swego kłopotu się uśmiechnął.

— Zapewne, zapewne, — rzekł po chwili, macie słuszność, jużby to i czas mnie było.

— A jakże nie, świętej pamięci dziad wasz i ojciec pożenili się zarania, a nieżałowali tego, dorzucił Fedko, i wamby się już nie opóźniać, dohodujecie się pociechy z dziećmi, ot i we dworze będzie nam weselę, i taki nas zostawicie w poczciwe ręce.

— Dziękuję wam, dziękuję,—odrzekł pan Joachim — dobra rada, niema co mówić, alem ja jeszcze nic nienapatrzył.

— Boście i nie patrzyli paneńku,—odparł z ukłonem i uśmiechem poufałym Fedko — jeno tylko zechciejcie poszukać, a znajdziecie.

— Ale, uśmiechając się rzekł pan Joachim, — o ile ja wiem to tu nawet w okolicy niko go nie widać.

— O! jakto kochany panie, znajdzie się! znajdzie! daleko po żonę jeździć nie warto,—sentencjonalnie odezwał się Gruzda — ale i po bliżu nie bez tego żeby nie było.

— Ja niko nieznam.

Gospodarze mrugnęli po sobie, widać się już byli i o tém naradzili, a Fedko ośmielony znowu przystąpił z ukłonem.

— A panienka z Sasowa! — rzekł wpatrując się w oczy swojemu paniczowi, bo tak go wszyscy dotąd nazywali.

— Ja jej nie znam, nie wiem czym ją widział nawet.

— Sliczna panienka — podchwycił szybko Fedko, — nie ma co mówić, hoża, zdrowa, wesola, i gospodyni jak matka, a takito domo-

wój, wiejskiej hodowli, proszę pana, nie z miasta, a ród poczciwy, pracowity.

— Gwałtembo mnie swatacie widzę! — zaśmiał się pan Joachim zafrasowany.

— Chowaj Boże, chowaj Boże gwałtu! z dobrą radą, z dobrém sercem przyszliśmy, ot i po wszystkim.

— Ja też radę przyjmuję do serca także i dziękuję wam za nią od niego — odezwał się pan — ale to trzeba pomyśleć, oporządzić się, a chcąc co zrobić, to i grosza nagotować wcześnie, lata były nieosobliwsze.

— Albo to my tego nie wiemy? — odparło żywo kilku gospodarzy razem, — myśmy to sami myśleli sobie, ale na to jest rada. Żebyś tylko panisko chciał posłuchać nas, a nie wzgardził dobrém sercem.

— Wiercie mi, że wam jestem najwdzięczniejszy za przywiązanie wasze.

— No, to i ofiarę przyjmcie, — odezwał się ochoczo i wesoło Fedko, po za siebie sięgając, i w obu rękach podniósł wielką czapkę barankową pełną różnej monety, którą z pokłonem przed panem położył.

Pan Joachim cofnął się krok i łzy mu w o-

czach stały z rozczulenia, z uczucia, ale w twarzy jego widać było że mu ten dar był ciężki; poznał to Fedko i niedając słowa przemówić, sam począł.

— Ot tak, paneczku, gromada postanowiła, przyniosła i musicie to od niej przyjąć... my chwała Bogu a dzięki wam mamy się dobrze, złożyliśmy co tam gdzie pleśnieć miało, a wcześniej wiemy, że u ciebie jakby komu zabrakło, to znajdzie jak w kieszeni. Więc nie sromajcie się przyjąć małego datku z dobrego serca od swojej gromady i żęncie się, a my za to na waszém weselisku wypijemy.

Długoby o tém pisać było, jak się pan Joachim wzdragał, jak na niego gromada nalegała, jak go całowali po rękach, póki rozplakawszy się rzewnie, nie przyjął nareszcie tego daru, z wyraźnym zastrzeżeniem że w jego ręku zostanie tylko jak depozyt i własność wioski. Wymogli też na nim słowo włością, że im przyrzekł o ożenieniu pomyśleć.

Ale zaprawdę wielki to frasunek przy był podżytemu już myślicowi; w domu tak mu jakoś było dobrze, że choć wieczory zi-

more u komina długie się nieraz wydały, swoboda dnia płaciła za nie. A potem, nie miał że pocziwego Jana nieodstępnego towarzysza, w kniei i w izbie, na ochoczą gawędę i usługę? Jan był godnym synem pocziwego tego ludu, sierotą ze wsi Starego do dworu wziętym z dzieciństwa, niegdyś dojeżdżaczem u ojca jeszcze pana Joachima, dziś pierwszym sługą, szafarzem, klucznicą, rządcą, ekonomem, przyjacielem i doradcą. Ale bo też na Jana spuścić się było można — miał on swoje wady to prawda, a najpierwszą z nich podobno że od kieliszka nie stronił i cokolwiek podchmielony potrzebował już ciągle mówić — za to pocziwe serce, gotowość do poświęceń niewyczerpanych w nim były skarbem. Oszczędnością ani ze swego ani z pańskiego nie zgrzeszył, tłukł wiele, psuł ogromnie, bo mimo siwego wlosu był roztrzepany i gorączka jak młokos, ale ze szkody zrobiwszy ją w prostocie ducha pierwszy się uśmiechał, nie dozwalając się połajać nawet, takto jakoś brał lekko. Wszystkie jego grzechy powszednie pochodziły z dobrego serca i nadzwyczajnej żywości, a pan Joachim tak był do niego przy-

wytkł, że go zdaje się za wady jego więcej jeszcze kochał niż za cnoty.

Po odejściu gromady, gdy gospodarz zamysłony wszedł do swojej izdebki na której kominie palił się suty ogień trzaskący, Jan naturalnie zaraz się za nim wsunął i stanął u drzwi, bo częstując panów braci, trochę się już podechmielił i potrzebował gawędzić. Twarz jego połyskiwała rumieńcem, a oczy błyszczące jak węgle latały nieustannie szukając i przedmiotu do rozmowy i powodu do usługi. Nigdy tak usłużnym i tak tłukącym, rozlewającym, wywracającym nie był, jak w chwilach podobnych ożywienia. Ale pan Joachim siedział na krześle ze spuszczoną głową, zamysłony i nie zdawał się wcale skłonny do gawędki. Jan spróbował naprzód odchrząknąć, potem stał stół i wywrócił tylko jedno krzesło mimochodem, ale przywykły do podobnych burz pan, ani się ku niemu odwrócił nawet. To już było nie dowytrzymania, sługa ruszył ramionami i uczuł że potrzeba będzie samemu pierwsze przebić lody, począł więc z cicha bardzo, niby sam do siebie, nieznacznie jednak coraz głos podnosząc:

—Hm! hm! tak! tak! oho! patrzcie jacy mi rozumni, nie w ciemie ich bito! ho! ho! w swaty! słyszał! napatrzili już nawet sami żonkę dla pana! tak mospanie, tak! Pilno im, pilno! Alboż to już panu koniecznie tak się prędko żenić; coż to, czy pora minęła czy co? Zapewne, wprowadzić sobie biędę do domu, coby wszystko musiało być raz w raz w porządku i na swoim miejscu, zapewne, jeszcze tego braknie!

Pan Joachim się uśmiechnął.

—A prawda poczęści mój stary, czy to my nie znamy.

—Tak, tak, czy to my nie znamy—podchwycił żywiej coraz sługa, głośno już, bo okrutnie język swierzbiał, — czy to my nieznamy, nie wiemy jak to bywa.—Ho! ho! pani w dom to choć wszystkim z domu. Alboż to już tak bardzo czas, toć ja panicza na rękę nosiłem, a ja se jeszcze myślę, że podstarzawszy to się będę mógł ożenić; a gdzież panicz odemnie młodszy.

—Jużbo tobie Janie,—odparł rozweselony myśliwiec — poczekawszy, może być zapożno.

—A! z przeproszeniem panicza — ura-

żony zawołał Jan, — tegom to się ja niespodziewał, panicz mnie przecie widzi codzień w kniei i w domu, jak tłukę zwierzynę...

— I talerze.

— No, to i talerze, ale zawsze taki i siła i ochota i krew jest; jak już nie zdłużam a trzeba mnie będzie pielęgnować, no to się i ożenię. Gdzież jeszcze paniczowi do mnie!

— Ba! ba! a czwarty krzyżyk poczęty!

— No to coż, choćby i czwarty? wielka mi rzecz! a ja siódmy po cichu zacząłem i nikomu nie nie mówię; czy to się zaraz chwalić. Ja jak się ogolę mam czterdzieści kilka, a panicz w niedzielę na dwadzieścia pięć wygląda.

Joachim rozśmiał się serdecznie.

— Wybornys mój Janie, ale prawdą a Bogiem, ja czuję że oni mają słusność, — z cicha dorzucił — tylko mi się diable nie chce.

— A na coż to robić czego się nie chce? podchwycił sługa zrzucając nóż leżący na kominie i chwytając go w powietrzu całą dłonią, tak że się skaleczył do krwi — gromada o sobie myśli, a my o sobie: mogą poczekać.

— Oni mają słusność, — z westchnieniem

powtórzył Joachim — trzeba taki spróbować i do Sasowa pojechać.

Jan tylko głową pokiwał, załamał ręce i stanął jak wryty, nie takiego spodziewał się on wniosku.

— Ha! zresztą, — rzekł desperacko — woła pańska, co to do mnie należy! ale zobaczy pan co z tego będzie; już taką rzeczą wypadnie z polowaniem się pożegnać.

— Albożto... — chciał spytać żywo pan Joachim, ale ten mu przerwał z gwałtownością gaduły.

— Tak! tak! z polowaniem się pożegnać, żona nie da jegomości po naszymu hulać z kniei do kniei, z lasu na łąkę, z łąki na pole, z chartami, z gończemi, z wyżełkiem, trzeba będzie i koło swojej przepióreczki posiedzieć; a przyjdą zaraz dzieci, przyjdzie za nimi oszczędność djabła warta, ja to wiem, wkrótce dla psów osypki zabraknie, charty poczną się nadto do hładyszek umizgać i kureżęta ścisnąć, gończe będą wyły po nocach, wyżyły w sieni robić nieporządki, i skończy się na tém, że nasza działta zmarnieje, a my podurniejemy, ot i po wszystkim.

Pan Joachim znowu się tylko rozśmiał.

— Śmieć się pan, śmieć, — coraz rozgrzewając się bardziej, wołał Jan — ale to nie śmiechem pachnie jak Bóg żywy, wszystko tak będzie jak ja panu mówię; obejrzy się pan zapożno, po harapie, klamka zapadła, i trąb w kułak nieboże.

— Ale dałbyś pokój Janie, czyż to i żonaci nie polują.

— Co to za polowanie, proszę pana! polowanie na które trzeba pozwolenia u jejmości prosić. Już pan o świecie nie wyjedzie, żeby pani nie budzić, trąbka nie zagra koło dworu boby przestraszyła; wykraść się będziemy musieli jak złodzieje, a powróciwszy gdy się zziębnie, zmoknie, jeszcze i burę złapiemy na odegrzanie...

— Jan tak się już rozgadał, że chodząc wywracał wszystko, i potoku słów jego niczem utamować nie było można, sądził nawet że przekonał, bo pan Joachim zamilkł, ale w kilka dni potem, oporządziwszy się jakotako, niespodzianie ruszył do Sasowa, co Jana do desperacyi doprowadziło.

W Sasowie mieszkali państwo Drohobyscy,

oboje dobrze starzy już ludzie, mający młodziehną córkę i syna tylko. Byli oni niegdyś majątni, teraz podupadli, dorabiali się powszedniego chleba starości w pocie czoła. Sam pan Stanisław zawołany gospodarz staréj daty, wedle prognostyków, kalendarza i notat dziadowskich prowadzący rolnictwo, niczem się prócz niego nie zajmował, sama równie zabiegła gospodyni pomagała mu usilnie; dzieci ich wdrożone do tego życiem rodziców, razem z niemi chodziły od młodu około uczciwego dorobku; dom był co się nazywa gospodarski. Nie było tam krzywdy ludzkiej, ale niedziela jedna ledwie na spoczynek zostawała, tak się nieustannie krzątano. W niedzielę jechano na mszę świętą i w sąsiedztwo, przyjmowano kogo Bóg dał, i bawiono się zahorowanym spoczynkiem; w inne dni nikt ich nie zobaczył. Stary, już siwy, krzepki i zawiędy mężczyzna atletycznej postawy, cały dzionek był na szkapie, syn w drugiej stronie; matka w białym czepcu i cycowym przyodziewku pilnowała dziewcząt swoich, córka wyręczała ją w pracy. Wśród takiego życia nie było czasu na złe myśli nawet, a przytém bogobojne staroświeckie wy-

chowanie zaród ich nawet zniszczyło. Jego-
mość był prosty człowiek ale serca wielkiego,
nie uczony, przecież obowiązki swe znał do-
brze, prawa liznął w praktyce, łaciny zaczy-
pnął w szkole w Przemyślu, polityki wyuczył
go rodzinne podania, a gospodarki praca wła-
sna. Nie był to statysta ani gębacz, ale też
między ludźmi miał się z czem odezwać, i
choć nie wiele mówił, było czego posłuchać.
Jejmość długiem nierozzerwanem życiem ze
swoim pocziwym Stasiem, zupełnie się na je-
go sposób wykształciła; były to rzecz można
nie dwa odrębne indywidua, ale jeden na dwo-
je rozdzielony człowiek. Rozumieli się skinie-
niem, jedną mieli wolę, jedne myśli, jedne u-
podobania i charaktery; ta zgodność ich w in-
nem rodzaju życia próżniaczego mogłaby była
sprowadzić za sobą znużenie i obrzydzić ich
wzajemnie; ale w pracowitym zawodzie Dro-
hobyskich, ściślej tylko łączyła.

Wesołość niczem nie zamacona, spokój
nie zrównany i słodycz odróżniały nieco pa-
nią Kunegundę od surowszego, często smut-
nego i łatwo niepokojącego się męża, który
zbyt czując i biorąc do serca każdy kłopot

gospodarski, chmurzył się i gniewał. Naów-
czas Kunusia wzięwszy się w boki, przycho-
dziła do niego raźnie z perswazją tak zrzę-
zną a nienatarczywą, że zawsze potrafiła go
powoli potakując mu z początku, mitygując po-
tém, rozweselić i udobruchać.

Takich rodziców dzieci musiały wyrosnąć
na ich podobieństwo; syn Paweł trochę się
w szkołach poduczyszy rychło z nich ojcu
pomagać powrócił i kula w kulę wyrabiał się
na jegomości; córka która nigdzie nie powstała
tylko w domu, była odmłodzonym obrazem
wesołej, pocziwej i pracowitej Kunusi. Ojciec,
który ją też szczególnie kochał, spoglądał na
nią czasami i mówił:—Waćpanny wygląda-
cie przy sobie jak rodzone siostry!

Ale stary pochlebiał, bo jego Kunusia choć
rzeźwa i rumiana, dobrze już była podtupta-
na, i kiedy go posłyszała mówiącego tak w we-
sołej chwili, zawsze mu śmiejąc się odpowia-
dała.

—Ale! ale! podobneśmy, podobne jak świe-
ża gruszka do suszonej!

I mówiąc to całowała Marję w czoło.

Marja była ulubienicą i pieśczętą wszyst-

kich; rzadkobo kogo Bóg tak jak ją obdarza. Miała tę piękność Polki, której na świecie nie wyrówna żadna, piękność pełną wyrazu, poważną i wesołą razem, w której się rozum z uczuciem do równowagi układa, miała wdzięk nieznównany, wejrzenia, ruchu, uśmiechu, głosu i słowa, podnoszący do ideału, miała serce złote i jasne pojęcie o świecie wyczerpane z poznania obowiązków chrześcijańskich. Ani nadto surowa, ani nazbyt płocha; łączyła dostojność niewiasty z urokiem dziecięcia, a znać było że z swobodnego swego kąta młodości już poglądała na życie któremu była przeznaczona. Modlitwa, praca, trochę niewinnych marzeń, trochę dziecinnej prostotą zabawy, składały się na dni jej terazniejsze, i nie tęskniła za zmianą losu, bo wszędzie widziała obowiązki przedewszystkiem, które mogą się stać rokoszą dla pocziwych, ale nigdy gorzej nie obudzają żądy, zwłaszcza w młodym sercu potrzebującym swobody, by się rozrosnąć i ukrzepić dla przyszłości.

Dom w Sasowie był sobie szlachecki, nie zatruł go pański zbytek i wymysły nowych po-

trzeb życia, gdy w istocie życie tak małym się obejść może! Nic tu nie było dla oka krom kilku starych pamiątek, nie dla pieszczoty ciała, co wypieszczone, nie nowych władz do szczęścia, ale nowych tylko środków dręczenia się, nabywa; nie dla pokazu przed ludźmi i pochwalenia się im fałszywym dostatkiem. A by-ła to wszakże zamożność w pocie czoła zdobyta, owoc życia całego, Sasów z długów się oczyszczał dla syna, i piękny posazek zbierał dla córki. Już i rodzice wieczorami posiadawszy na kuferkach, szeptali nie raz spoglądając na Marję, że czas by ją wydać za męża, ale się nikt jeszcze do ich serca nie trafiał, nikt do serca Marji, swobodnej, wesołej i niepragnącej więcć nad to co miała. Mało też kto bywał u państwa Drohobyskich; sąsiedztwo nie było liczne, i wszyscy wiedzieli że się w Sasowie szumno zabawić nie można. Na marja-sza wieczorem przyjeżdżał czasem proboszcz, czasem zakonnik z Podkamienia, na imieniny przywlekło się kilku starych przyjaciół, a we święta większe i ktoś z dalszych krewnych; ale odwiedziny były krótkie i nie ich nie odznaczało od dni powszednich, tylko

wiekszy trochę zakręt w domu, dla którego były niezwykłością.

Z panem Joachimem i rodzicami jego znał się jeszcze pan Drohobyski oddawna, ale nie widywali się też często, bo lata upływały, a ledwie się czasem spotkali w miasteczku lub uścisnęli we drzwiach kościołka.

Zadziwił się niepomału szlachcic, gdy jednej niedzieli, w nowiutenkiem ubraniu jak z igły, czwórka dzielnych domowych szpaków zajechał pan Joachim. Gospodarz w pierwszjej chwili trochę zdumiony, prędko się rozruszał i najgościnniej przyjął sąsiada. Wyszła zaraz i wesoła jejmość z mnóstwem dykteryjek, któremi zwykła była ożywiać rozmowę, pan Paweł i Marja. Nadjechał jakoś wkrótce i proboszcz, a rozmowa bardzo się ożywiła przy kawie poobiedniej.

Nie uszło to oka matki, że pan Joachim coraz to na Marją spójrział z intencją; ośmielił się nawet niezważając na jej nadzwyczajny rumieniec, przemówić do niej słów kilka.

Odwiedziny poszły składnie i dobrze; wszyscy się rozstali radzi z siebie i z myślą spokojną. O zmierzchu pożegnał gość chętnych

swych gospodarzy, wymawiających mu długie zapomnienie i proszących go, by ich częściej odwiedzał; a po odejściu syna i córki, pan Stanisław z żoną szepnęli do siebie.

— To niedarmo!

— Jakbyś mnie jejmość z ust wyjęła; i mnie się to zdaje że nie bez myśli. Jak uważasz, czy mu się też Marja podobała?

— Raz w raz na nią spoglądał.

— Tak! tak! i podobno nie bez projektu!

— A coż, jakby się to jegomości wydało?

— Ba! czemuż nie! Nicbym doprawdy przeciwko temu nie miał; ucziwych rodziców, ludzie rządni. Stare, wieś co się zowie, ryby, grzyby i chleb jest; długów nie mają, siostr, braci ani krewnych, substancja piękna, on człowiek stateczny; tylko do licha słyszę zagorzały myśliwy.

— O! o! alboż to co tak bardzo złego?

— Alebo widzisz asindzka i to pasja — odrzekł pan Stanisław gładząc wąsa — a pasja każda prowadzi daleko dalej niżeli przewidzieć można, jak koń unoszący, który czy w wodę, czy w przepaść, czy na ścianę zanie-

się, nikt nieodgadnie. Widzi mi się żeś kiedyś słyszał o takich u nas, co za sforę ogarów gotowi byli dać wioskę. Żonie z takim niewygodnie.

— Ale czyżby się to powoli przez przywiązanie żony niemogło odmienić? — spytała pani Stanisławowa. — Sam jeden, cóż ma robić, żonaby mu nie dała tak raz w raz po lasach się włóczyć.

— Oj! moja Kunusiu, ciężkieżbo to zadanie, żonie męża przerabiać, lepiej dostać gotowego.

Rozśmiała się żona wedle swego zwyczaju, ale odparła zaraz, niedozwalając by w umyśle męża gnieździło się uprzedzenie przeciwko panu Joachimowi.

— Będzie to jakoś przy pomocy Boskiej... jeśli sądzono im, i nie najgorzej widzi mi się byłoby, gdyby się to skleіło. Ale dajmy pokój przed czasem głowę łamać.

— I to racya, — odezwał się pan Stanisław — poczekajmy z turbacją żeby było czego.

Tymczasem pan Joachim jechał do domu niesiony czwórką szpaków swoich, które woznica po stacyi przed gankiem w Sasowie te-

raz z całych sił trzymać musiał tak mu się rwały; jechał i niewidział nic co się w koło niego działo, bo się zaraz w ulicy od dworu wiodącej tak zadumał, jak mu się przedtem nigdy nietrafiało. Marzył on całą drogę aż do ganku w Starem, a podróż mignęła mu tak szybko że się niepomału zadziwił ujrawszy światło i usłyszawszy głos Jana nad uchem. Ocknął się niemal przerażony, spójrział na konie i nie nie rzekłszy do ludzi, co było przeciwko zwyczajowi, nie pogłaskawszy nawet Pokaza, wyżyła swego, wszedł zadumany jeszcze do swojej sypialni.

Jan który zapobiedz nie potrafił tym odwiedzinom choć się ich lękał, rad był zbadać jakie wrażenie zrobiły na panu; postrzegł zadumanie niezwykle, niepodobało mu się milczenie uparte, postanowił koniecznie panicza rozruszać i do wynurzenia się skłonić. Że wieczór był chłodny, pobiegł naprzód po wódkę; uderzył się kilka razy o drzwi na których klamki nie trafiał, zawadził o cztery piece stojące na drodze, kułakując je za to, skreślił dwa zamki z wielkiego pośpiechu i wyklął je jak był przywykł wyklinać psy i konie, to

jest: żeby was wilcy pojadły! nareście dostał się do apteczki stłukł jeden butel, a z drugim powrócił.

Myślał że otwierając flaszę, otworzy rozmowę, ale pan Joachim odezwał się tylko: — Postaw — i wyciągnął się na łóżku.

Jan dorzucił na kominek polano, poustawił nieszczęśliwe krzesła którym gości gruchotał, startł stoły wszystkie, wymiotł śmiecie po drewnkach, raz w raz oglądając się na paniczą, a widząc że ten milczy uparcie, spytał sam na ostatek.

— Czy tylko panicz nie chory?

— Nie mój Janie, nic mi nie jest!

— Ale cośbo pan nie swój?

— Owszem, tylkom się trochę zmęczył, bryczki nie lubię, wolę konia.

Ani się nie dopytać! Jana rozpacz i niecierpliwość, o którą mu było nie trudno, porzywały; wypadało mu wyjść, szukał powodu do zostania i wściekle porządkował znowu co tylko mu się nadarzało wywracając, łamiąc i sztukując zaraz najnaiwniej z poruszeniem ramion, które zdawało się winę przypisywać sprzętom, nie obejściu się z niemi. Jan w ta-

kich razach nigdy nie był winien; zawsze piec, drzwi, krzesło, stół, jedynie pokutowały, bo je łajał jeszcze.

Pan Joachim niezważając na ten łomot, poglądał w komin i milczał. Przetrwawszy tak długą chwilę, sługa nie myślał więcej czekać i szturmem postanowił zdobyć potrzebną wiadomość.

— A cóż, rzekł, pan znalazł Drohobyskich w Sasowie?

— Znalazłem ich.

— Gdyby też wolno było spytać?

— O co?

— O juściż, — uśmiechnął się Jan figlar nie, oczki żywe mrużąc i trąc z niecierpliwości czuprynę zawsze najeżoną — juściż, jak się tam spodobało?

— Bardzo! — rzekł lakonicznie Joachim i uciał.

Jan tupnął nogą i palce sobie zagryzł.

— A panna, proszę pana?

— Piękna panna.

— Ta! piękna! piękna! każda z nich piękna póki za mąż nie pójdzie, ale to gaśnie pięciuteńko...

Pan Joachim rozśmiał się, a Jan nabrał zaraz większej śmiałości, widząc że jego opozycya uśmiech tylko wywołała, i począł głośniej a żywiej:

— Niechże mnie pan złaski swój powie, swojemu staremu słudze... to już taką będziemy mieli sobie panią, czy co?

— Alboż ja wiem! czyż mogę przewidzieć czy ja się jej podobam, czy oni mnie zechcą?

Jan podniósł głowę, pokiwał się, uderzył się po bokach i zawołał:

— Ale! ale! nie chcieliby! Podoba im się i panicz, podoba im się i Stare! Zapewne, zapewne! O! co z téj strony można być spokojnym, oddadzą ten klejnot z pocałowaniem rączek, to jasne jak słońce, byleś pan mrugnął tylko. Ale posłuchajno pan starego swego Jana; ej! dobrze się rozpatrz i namyśl, bo to dalibóg na całe życie... to nie bagatel, nie zabawka, niech się panicz pomiarkuje. Do domu sobie kłopotu naprowadzić bardzo łatwo; pozbyć go się potem nie można. Co ja, to Drohobyskich nie lubię, skape to, gołe być musi, i żaden z nich nie poluje; podobno pan Paweł, ale to tylko z chartami, i charty gałga-

ny, gnój wozic za naszymi! Z jednym Doletem wszystkieby w kamysz zapędził.

Prawił Jan długo, od chartów do panny i od panny do myślistwa przeskakując, macał swego panicza z różnych stron i wyszedł ze spuszczoną głową wódkę odnosząc, tak tęskny, że w przedpokoju dwa razy się jej na pokrzepienie musiał napić. Serce jego przeżuwało, że to czego się najbardziej lękał, spełnić się musi.

Jakoż w kilka miesięcy potem, stały bezczki smolne wzdłuż drogi i stawu od lasu do dworu poustawiane z obu stron; dwór w Starem był rześisto oświecony cały, a we wrotach wioski, gromada oczekiwała przybycia państwa młodych. Zdala już słyszał było wesół, rażny tentent koni, które wiozły nowożeńców i dzwonki uprząży wołyńskiej i klaszanie z batów i hukanie podchmielonych gości. Starzy wieśniacy poglądali z żywą niecierpliwością ku lasowi, z kądem się im miał ukazać powóz weselny, a Fedko Gruzda pierwszy swat w nowiuteńkiej siwój świecie, podpasany czerwonym pasem, z pięknym kapturem na plecach wzorzysto wyszywanym, z o-

gromną czapkę barania w rękę, trzymał świeżuteńki bochenek chleba uwinięty w białe płótno, gotując się powitać swych państwa z darami zwykłemi: chlebem, solą i miodem. Obok na przykrytym stole w misie czerwonej widać było plaster przepyszny i na szklannej mniejszej miseczce białej soli kupkę; przy nim siedziała stara kobieta z kądzielą w rękę nałożoną lnem najpiękniejszym, przy życzeniach, mając starodawnym obrzędem wyprząść nieć jak najdłuższą, symbol długiego gładko płynącego żywota.

Zwykle do tego wybierają najwprawniejszą we wsi prądkę, która w oczach nowożeńców z wielką zręcznością wyciągając szybko cienką i równą przędzę, i wskazując ją wesoło, kłania się, całe życzenie zamykając w wymownej nici.

Rzadko się trafia, by kogo przyjeżdżającego z żoną do domu po raz pierwszy, przyjmowała gromada; zwyczaj też to już dziś mało komu znany, lecz niemniej istniejący w tych kątach, gdzie się z wielą innemi podaniami i ten obrządek przechowuje, po Wołyniu i Polesiu.

Cymbalista, skrzypak, basetlista, stroili instrumenta tymczasem chcąc co najpiękniej popisać się z muzyką. Chłopcy powłazili na drzewa po nad drogą stojące, aby przędzieć ujrzyć i oznajmić o weselnym orszaku, nieustannemi ścigani pytaniami, odpowiadając na nie zwodniczo, lub zbywając dziewczęta dwuznacznymi słówkami.

Piękny był obraz uweseloniej wioski.

Nad stawem, nad gościńcem wijącym się przez parów, paliły się beczki smolne, odbijające się w wodach, oświecając drzewa i białe chaty na wzgórzu i żółty gościniec pokrecony w malownicze pasy ginące w dalekim zmięrzchu... Wśród ciemnych lip zameczyska sześć okien dworu jaśniały wszystkie równo, drzwi nawet buchały światłem, a na nich czerniała jakaś postać tajemnicza, stojąca nieruchomie.

Na wałach w koło domu migały mniejsze przebiegające tu i ówdzie światełka; we wsi gwar, śmiechy i pobrzękiwania muzyki, słychać było wśród szumu sadów gwarzących z wiatrem wieczora i warkotu młyńskiego koła, które na nic niezważając gdęrało. Księ-

życ blizki pełni srebrzyste swe promienie mieszał z blaskami ogniów i resztę krajobrazu odkrywał oczom, zdzierając z niego zasłonę nocy.

Ale kóżto tam wśród powszechnego wesela, duma na progu dworu stojąc jak wryty, ze zwiśłą głową, z rękoma załamane, z ponurą twarzą i nastrzępionym wąsem, jakby nie dzielił radości wszystkich, jakby się nią właśnie zatruwał? Stary to Jan stanął tak, zadumał się, i aż łza pociekła mu po zmarszczonej twarzy; usłyszał już zdaleka turkot powozów, serce mu zabiło jak dziecku i tak mówił do siebie:

— Czegom się bał, tegom się nie ubał! Ha! musiał się on taki ożenić! ale Bóg-że to wie co nam wiozą do domu, biedę czy szczęście? Gdybyto odgadnąć, możebym się z drugimi cieszył. To pewna że się nasze dobre, spokojne, kawalerskie czasy nie powrócą; kiedy tak, to i mnie będzie czas poszukać sobie jakiej flondry... jednakże kości łamają. Ot! jaka śliczna jesień, jaka perlista rosa, a djabła tam on się jutro rano da zbudzić do kniei, choć pieśki by zagrały! oj! zagrały! A co jemu teraz psy; już nam teraz nie o tém myśleć, będziemy i my

podobno na dwóch łapkach przed jejmością tańcowali! Mówią, że stara Drohobyska męża za nos wodzi, bodaj żeby i u nas tego nie było, bo to idzie rodem, a mój taki miękki, że go na włosku prowadzić można... I jeszcze się kocha, robi z niego co zechce. Byle mu choć raz w tydzień pozwoliła zajrzeć do kniei, bo to niebożatko uschnie z tęsknoty, nie daj Boże!

Kiedy stary Jan tak gaworzy sam z sobą, wesele nadjeżdża do kołowrotu wioski, i w nim zatrzymuje się chwilę; Fedko podał czerwono zapieczoną bułkę chleba uwinioną w nowy rańtuch biały, z niskim pokłonem, z przemową od serca gromady; prządka wysnuła nic, ale nikt nie widział, że mimo zręczności Horszyny najstawniejszej w swjej sztuce z całej wioski, mimo jej dobrej woli, procoze pasmo zadrżało i rozerwało się w jej rękach.

Są niepojęte oznajmienia przyszłości, wolno niedowiarkom co świata cudów widzieć nie chcą, zaprzeczyć im i złożyć je na przypadki; my je uznajemy, bośmy przywykli szanować nawet stare przesady... Może to błąd, ale i

ten z innemi wypływa z przywiązania do wszystkiego co swoje.

Tymczasem państwo młodzi pędzili ku dworowi, a za nimi w tumanach kurzu szły bryczki i wózki panów sąsiadów i gości; Jan wciąż jeszcze stał w ganku, aż gdy się turkot przybliżył, ustąpił nieco w cień i z zaognioném od ciekawości okiem pozostał za słupem ukryty.

Kiedy drżąc od wzruszenia, oblana rumieńcem, ze łzą w oku, Marja modląc się po cichu stanęła nogą na próg nowego swego domostwa, sługa z przestachem na nią spojrział, i mimo uprzedzenia, mimo żalu nie wydała mu się tak straszną, tak przerażającą jak ją sobie wyobrażał; wzruszony także postąpił nieco mimowolnie, a pan Joachim go zobaczył.

— A chodźżeno tu Janie, niech cię z moją żoną zapoznam, — rzekł wesoło — Marysiu, to nasz pocciwy Jan, wierny sługa moich rodziców, i mój piastun i przyjaciel.

Marja odwróciła się z uśmiechem serdecznym, i kłaniającemu się do nóg, cicho powiedziała:

— Proszę i mnie trochę kochać panie Janie, jakieś kochał mego męża, będę się starała na to zasłużyć.

Jan ni z tego ni z owego, zawsze do wszystkiego prędki, rozpląkał się rykiem i pocałował aż w nogę młodą panią swoją, tak mu do duszy przemówiła, a z wielkiej nagle obudzonej ochoty służenia jej, wleciał potem zaraz do domu za państwem i nogą przewrócił cały kosz stojących w kącie butelek.

Gwar gości i muzyka, śmiechy i wiwaty zagłuszyły brzęk tłukących się flasz, na które pogardliwie tylko spojrział Jan, ruszył ramionami i przez zęby stęknął:

— Oto głupie!

Nie zważając na sączące się wino, poszedł dalej potrząsając głową, i wciąż mruczał do siebie: — Ona sama będzie z nami polowała, ja ją nauczę! będzie polowała! mówię że będzie, i wszystko tak się pociągnie jak było dawniej... co daj Boże.

— Proszę i mnie trochę kochać panie Ja-
nie, jakieś kochać mogą męża, bóg się sta-
ła na to zasłużyła.

Jan mi z tego ni z owego, zawsze do wazy-
kiego przadki, rozprzaskiwał się tykiem i pocie-
wał at w nogę młodą panią swoją, tak mu
do duszy przemówiła, a z wielkiej nagle odu-
żonej ochoty słuchania jej, wleciał potem za-
raz do domu za panstwem i wozem przewo-
ził cały kosa stojących w kacie bułec.

Szumne było wesele, choć cicho szeptali mię-
dzy sobą goście i ludzie dworscy, że wiele
złych znaków mu towarzyszyły: u ołtarza
w czasie ślubu zgasła świeca ze strony pana
młodego, we wrotach wioski zerwała się nie
witającą ich przadki, wchodząc na ganek spot-
knął się pan Joachim i w kilka chwil po przy-
byciu do starego dworu zerwała się burza
z okropnym wichrem, grzmotami i piorunami,
która trwała do dnia, tak że wszystkie drzwi
i okna pozamykać i pozasłaniać musiano. Jan
wiedział o tych przepowiedniach, bo go cie-
kawość wiodła do każdej kupki szepczących,
i kiwał znów głową smutnie; odzywało się
w nim powoli uprzedzenie przeciwko młodej

pani, ilekroć na nią niepatrzył; gdy przy niej
był, ustawało.

Marja umiała ująć sobie i jego i wszyst-
kich, jak ujęła sobie Joachima, uśmiech jej,
dobre słówko dzwiecznym wymówione głos-
kiem, które mu towarzyszyło, wejrzenie aniel-
skie, jednały serca najtwardsze. Mruczał tyl-
ko stary myśliwy pod nosem, ale się odezwać
nie śmiał i myślał w duchu: zobaczymy też
co będzie z polowaniem, to najlepsza próbka.

Nie przypomniał on panu wcale kniei i
piesków, ale bolało go serce, gdy zajął do
psiarni, gdy wziął w rękę strzelbę.

Trzeciego czy czwartego dnia, gdy się już
goście porozjeżdżali i matka tylko Marji przy
niej pozostała, Jan kręcił się wieczorem po
pokoju i ze zwykłą sobie gorliwością, czego
się dotknął tłukł i wywracał, nie omieszkując
winy składać na biedne sprzęty, które mu pod
bok się nawijały. Wewnątrz gryzły go nie-
zmiernie łowy, do których czas był wysmie-
nity, a pan Joachim jeszcze mu nie wspomniął,
żeby się w lasy wybierał; wtém z podziwie-
niem największém pocziwego Jana, sama pa-
ni się odezwała:

— Mój Joachimie, ja wiem żeś ty wielki myśliwy, czemu też niepomyślisz o swojej ulubionej rozrywce, ja się tu domem zajmę, a ty każ sobie proszę jutro przygotować polowanie... Mama bardzo zwierzyne lubi...

Jan zaledwie uszom swoim mógł uwierzyć, stanął wryty, słuchał, nasłuchiwać się nie mógł, i drżał z radości.

— Słyszysz pan! słyszysz pan! — wykrzyknął niezrozumiale, i poskoczył do Marji całując ją w rękę.

— A! złota moja pani, śliczna moja pani! — jaskając się mówił szybko — to prawda, prawda, to święta prawda, że naszemu panu bez polowania nie wytrzymać... jutro o świcie do kniei, idę, lecę i zaraz rozporządzę wszystko...

Pan Joachim uśmiechał się patrząc na niego, a Jan już hałaśnie trzaskając drzwiami biegł pędem i po drodze słysząc było jak wywracał, tłukł, rozbijał co napotkał, powtarzając ciągle:

— Ona sama polować będzie! to złota pani, jak Boga kocham, złota pani!

Pierwsze polowanie wielce się udało, za

pierwszemu poszły żywo szeregiem nieustannym prawie coraz nowe, coraz inne, jesień i zima nadchodziły właśnie, nie zabrakło zwierza ani ochoty. Marja sama z uśmiechem przypomniawszy Janowi, że polować było można. Tę tak go sobie wręciła zaskarbiła, że z niedowierzającego dotąd i trochę obawiającego się jej zawsze, stał się pierwszym pani wielbicielem; milczący z razu, teraz się z afektem dla Marji nie tał i głośił wszędzie jej chwałę, powtarzając po cichu. Ona sama polować będzie! zobaczcie!

— Już to prawda, — dodawał — żem się grubo mylił i niepotrzebnie obawiał, bo ona sama i psy lubi i nigdy gończe nie były tak dobrze utrzymane jak teraz. Co pani to pani! gromada miała rozum kiedy ją panu stręczyła, bo takiej drugiej kobiety, na sto mil w około nie znaleźć.

Jan zupełną miał w tym względzie słuszność, bo istotnie Marji podobnej nie łatwo; rozum i dobroć, serce i głowa rzadko tak równie rozwinięte chodzą z sobą, rzadko obok nich znajdzie się wdziek, słodycz, urok jakim czarowała wszystkich pani Joachimowa. To

też mąż przywiązał się do niej namiętnie, prawie bałwochwalezo, a ona z powagą matki pieściła go jak dziecię, słuchała jak ojca, i jasnych dni pasmo rozwijać się poczęło w Starem dworze. Powoli nieład który się był zakradł pod zarządem szparkiego Jana, ustawać począł i pracą młodej pani stopniowo, nieznacznie, zaprowadzone zostały, porządek i oszczędność. Joachim swobodnie polował zdając na żonę nietylko kobiecą część gospodarstwa, ale cały zarząd domu i kierunek interesów. Jan już jej za złe nie miał że się do wszystkiego mieszała, bo polowali ile i jak chcieli, a nigdy słówkiem ani wejrzeniem nie wstrzymała pani Joachimowa.

Stare dworzysko dość przedtém opuszczone, wyporządzało się, podniosło, odprostowało i połatało boki; ogród podkrzesany zazielniał inaczej, dostatek wszedł do spiżarni za panie i zamieszkał w niej, a z nim swoboda i wesołość; Marja od brzasku do nocy z kluczami w rękę krzątała się koło swego gospodarstwa i ożywiała każdą robotę zachętą, dobrem słowem, a wreszcie udziałem jaki w niej miała.

Rok, dwa lata, upłynęły bez zmiany żadnej, synek tylko przybył panu Joachimowi, a gromada wedle odwiecznego w Starem zwyczaju, do chrztu go trzymała; Jan we łzach cały stanął nad kolebką i trzeciego dnia już mu chciał trąbić dla zabawki, szczęściem potrafiono to jakoś na potém odłożyć. Staś przypominał mu młodsze lata, gdy jeszcze Joachima piastował i zabawiał, serce mu uderzyło i pierwszy raz w życiu rzekł do siebie: niech djabli wezmą polowanie, trzebaby nam domu, jejmości i dziecka pilnować.

Były to jednak tylko wysoki czułości, które się wkrótce powszedniejszymi uczuciami zacierają; myślistwo odzyskiwało nad nim władzę, jesień przychodziła z rosą, psy zawyły zamknięte, musiano polować, jak było wytrzymać! Pan Joachim jednak powracał wcześniej, wyjeżdżał później i siadywał w domu dłużej, a Jan mu tego bynajmniej za złe nie miał, czasami nawet wybrał się sam do kniei po cichu, nie zachęcając panicza by mu towarzyszył.

Szło tak wszystko szczęśliwie lat kilka i Stasiak podrastał na pociechę matce i ojcu a

starowina Jan wykręcał mu piszczałki z łoziny, strzelał ptaszki, zbierał lisie i zajęcze ogony, aby go wcześniej do myślistwa zaprawić, gdy jak uderzenie piorunu, padło na dom nieszczęście.

Jednego jesiennego poranka, przybiegli dać znać do dworu, że w lesie pokazał się odyniec, który z sąsiednich ostępów kilka już razy wpadał w bory Starego; widziano go w uroczysku na Hałem. Na tę wieść ruszyło się co żyło. Jan siadł na koń, porwano psy, pan Joachim ledwie mając czas żonę w czoło pocałować, pognął na koniu do lasu. Jan oklep go poprzedził. Rozstawiono strzelców, a że odyniec na polankach w lesie rozpierzeltych, w zbożach włościan niemałe czynił szkody, ludzie się więcej dobrowolnie zebrali obławą przeciwko niemu. Pan Joachim z pośpiechu zapomniał o zwykłych w takim razie ostróżnościach, nieopatrzył dobrze strzelby, i stanął na przesmyku, którym dzik wedle wszelkiego podobieństwa przechodzić musiał.

Założono psami — chwilę było cicho, las tylko szumił posępnie, potem zagrały ogary, ucięły i zagrały znowu już widocznie z o-

ka goniąc — zadrżały serca myśliwych, zątętniał i zahuczał las cały — w tém dał się słyszeć wystrzał jeden i krzyk okropny.

Jan, który stał niedaleko od Joachima przybiegł w miejsce, z którego głos bolesny się rozległ, nieprzytomny, przelekły, przeczuwając już jakieś nieszczęście. Straszliwy widok go uderzył, pan leżał na ziemi we krwi brocząc, i niespokojne, łzą boleści zaszele oczy, wodził po głuchym lesie.

Pierwsze wejrzenie tych oczów padło na biednego Jana; ujrzał to i wrzaskiem przerażającym zwołał co żyło myśliwych i obławę. Widok był okropny, pan śmiertelnie ranny konał prawie. Zajałdy odyniec po pierwszym wystrzale, który go ciężko tylko skaleczył, wedle instynktu swego rzucił się wprost na dym; przypuścił go pan Joachim, pewien będąc, że drugą rurę ma nabitą, tymczasem w pośpiechu zapomniał o niej, odyniec wpadł nań rozjuszony, a żadnego ani pniaka, ani drzewa nie było w bliskości, by się od napadu ratować; cięty w nogę upadł myśliwiec, a dzik rozpłatawszy go, wściekły, rzucił się dalej.

Niepotrafiemy odmalować co się działo z Ja-

nem, jaki krzyk wyrwał się z piersi wszystkich pocziwych ludzi, którzy tak serdecznie Joachima kochali. Stracili przytomność i zapomnieli w pierwszej chwili o ratunku, przejęci okropnością wypadku, nikt nie nie robił, łamali ręce, klękali przy nim, płakali.

Joachim słabnącym głosem szeptał powolnie: — „xiędza! xiędza! nieście mnie do dworu, krew upływa, życie uchodzi... do dworu... niech ich pożegnam... proszę was.

Opamiętali się ludzie wreszcie, zrobiono natychmiast nosze, a dwóch przodem pobiegli do plebana, który przeciwko ranionemu wybiegł z wyrazem najstraszliwszej boleści. Łzę zlane oczy xiędza i szklany wzrok dogorywającego myśliwca spotkały się z sobą w milczeniu wymownem, postawiono nosze na ziemi, odstąpili ludzie, kląkł proboszcz u głów konającego i przyjął ostatnie jego przeżywane jękami wyznania, błogosławiąc umierającemu przyjacielowi.

— A teraz — odwrócił się do zgromadzonych ludzi swój gromady — teraz bracia moi, rzekł powolnie — sierot dwoje wam polecam, wy im bądźcie opiekunami, wy obrońcą... Nad

was nie miałem lepszych przyjaciół, wam ich zostawiam spokojny...

I spójrzał ku bliżej stojącym. — Podejmujecie się opieki?

Wszyscy płakali, tylko starzec jeden Hryć Soroka z powagą przystąpił ku panu swemu.

— W imieniu nas wszystkich, rzekł, przyjmujemy twoją wolę ostatnią i spełnim ją święcie; ale ty żyć będziesz, dla nas... dla nich...

Joachim uśmiechnął się boleśnie.

— Pamiętajcie, powtórzył, zostawiam was opiekunami wdowy i sieroty, teraz mogę umrzeć spokojny. Nieście mnie do domu, z mężką rezygnacją zawołał, — po Bogu pierwsza ona i sierota. Ty xięże idź przodem i przygotuj ją do ciosu; mnie powoli poniosą przez wioskę, pożegnam się z moją gromadą... Życie zatrzymam w sobie bo muszę ją pożegnać... i jego biednego robaczka, pobłogosławić na życie.

Łzy puściły się z oczu słabnącego, ścisnął za rękę xiędza i wskazał mu na dwór.

— Idź przodem, powtórzył cicho, powoli, otróżnie powiedz co się stało — tak Bóg chciał.

Jan oszalały prawie, siadł na konia i po-
pędził do Podkamienia na wprost przez lasy
i góry bez drogi po lekarza, był tam bowiem
zakonnik jakiś, którego słynął za doskonałego
medyka.

Joachima niesiono powoli, a cała wieś
wstrzęsniona wieścią straszną wybiegła ku-
piąc się koło niego i z płaczem żegnała go,
całując stygnące już ręce. Hryć Soroka szedł
przynosząc i chwytając z ust pana ostatnie wy-
razy, którymi mu polecał wioskę, żonę, dzie-
cko, opiekę wszystkiego i staranie o wszyst-
kiem. Tymczasem ze spuszczoną głową, i
myślą skołataną szedł przodem pleban do
dworu wyprzedzając z ciężką do wypowie-
dzenia nowiną, smutne łóżę myśliwca... Jak-
by na przekór wypadkowi temu, który miał
żałobą okryć wszystkich, nie było nawet prze-
czucia smutku w wesołym dworze. Na gan-
ku siedziała pani Joachimowa z nieodstępnemi
kluczykami u pasa, bawiąc się ze szczebio-
czącym dziecięciem swoim; Staśka głosek
srebrzysty rozlegał się daleko i pierwszy po-
witał xiędza wchodzącego przez wały w dzie-
dziniec. Ujrzała go zdaleka pani domu i zdzi-

wiona niezwykłemi w porze ranniej odwie-
dzinami, ale rada przyjacielowi, uśmiechnęła
się do niego. Cicho i błogo jakoś było w o-
cienionem podwórku, na którego zieloną mu-
rawę wybiegło dziecię klaskając raźnie z ba-
tożką.

Xiędzu ścisnęło się serce na ten widok,
który za chwilę miał się tak straszliwie zmie-
nić; stanął mimowolnie, załamał ręce, no-
we łez strumienie puściły mu się z oczu. To za-
stanowienie się gościa wziął mały Staś za wy-
zwanie do swawoli i żywo przybiegł do pro-
boszcza; spójrzawszy mu w oczy figlarnie i uj-
rzawszy w nich łzy, odwrócił się niespokoj-
ny do matki.

Pani Joachimowa uśmiechała się jeszcze,
żadna myśl gończa nie przebiegła zwiastu-
jąc jej smutek, przez spokojne serce; nie wi-
działa płaczu, nie domyślała się nowiny. Wry-
tym stał xiądz przez chwilę, ale potrzeba iść
dalej, wymógł na sobie siłę i zbliżył się. Te-
raz wejrzenia dość było, by poznać, że nie-
sie brzemię, którego złożyć nie śmie, znając
ciężar jego. Jak piorun przecucie straszne
uderzyło w serce żony, krzyknęła, podbie-

gła, i wzrok z pytaniem gwałtowném utopiła w jego oczach.

— Xieże proboszczu, mów, mów, co się stało? na Boga!

Biedny posłaniec wziął w milczeniu na ręce chłopaka i podał go pani Joachimowej.

— Jesteś matką, rzekł głosem stłumionym, pamiętaj o tém ześ matką!

— Co to jest? cała drżąca i zbladła zawołała kobieta coraz więcej przerażona.

— Bóg cię dotknął, dokończył słabnącym głosem duchowny — wielkiem zagrożona jesteś nieszczęściem, pamiętaj ześ matką! Twój mąż....

Nim dokończył, krzyk rozpaczony się rozległ, ale kobieta nie padła bezsilna pod ciosem; natchniona boleścią i uczuciem obowiązku zerwała się, poczęła biedz nieprzytomna, a słaby starzec ani mógł myśleć ją dogonić. Biegła drogą ku wiosce, wiedzona instynktem przywiązania. Dziecię widząc matkę uciekającą z krzykiem rozpłakało się, proboszcz przy niém pozostać musiał.

Serce jój już było wszystko odgadło, i leciała przeciwko rannemu, widząc obraz je-

go przed oczyma tak jasno, tak wyraźnie, jakby go już oglądała wprzód; wiedziała o swém nieszczęściu choć go jój nikt niewypowiedział jeszcze — strumienie krwi lały się przed obłąkanym jój wzrokiem..

Ujrzała orszak ludzi idący drogą powolnie... zielone nosze gałęzi... tłum cisnący się ku nim... strugę czerwoną na ścieżce, którą przeszli... bez jęku, bez głosu, wysiłkiem potężnym przypadła do męża.

On konał już, piersi podnosiły się szybko, żywo, łapiąc ostatek powietrza i niemożąc go pochwycić, oczy jego gasły i zasuszały się mglistą powłoką śmierci; — zobaczył ją jednak jeszcze, wyciągnął rękę ku niej i coś nakształt uśmiechu przesunęło się przez sine usta. Poruszył niemi, chciał mówić, szept niewyraźny stłumił się w piersi. Ludzie stanęli, ona ukłękła przy nim. Joachim spójrzał na Stary dwór jakby wzywał dziecięcia; zrozumieli to ludzie i z gromady ich dwóch ręczy wybiegło po sierotę. Umierający ciągle zdawał się wysilać na kilka słów ostatnich i zebrać się na nie już nie mógł — krew upływała potokiem, a z nią sączyło się życie.

Przyniesiono zapłakanego i przełękłego Stasia, przybiegł xiądz; otworzył oczy konający raz ostatni, dzwignął rękę i ta opadła skrzepła, zdrętwiała już, na jasnowłosą główkę dziecięcia.

Duch wrócił do Boga który go dał.

Trudno słów znaleźć by opisać straszną boleść żony, przywiązanych sług i pocziwego ludu wioski, który w początku z nieszczęściem swoim oswoić się niemógł. W chwili wszystkie roboty przerwane zostały, co żyło leciało do pana otaczając nosze jego grobowe, z których jeszcze sączył się krwi krzepnącej ostatek, a życie co ją wydało już było uciekło. Łkania rozpacz, jęki, boleści, rozległy się po całej wiosce. Z chmurnymi czołami przyszli starzy gospodarze wioski, stanęli milczący nad umarłym i po siwych brodach spłynęły im łzy ciche, żal starców głęboki był, poważny i zaniemiały jak grób.

Wdowa z dzieckiem na ręku klęczała na ziemi i przerywanym głosem niekiedy tylko powtarzała z rodzajem obłąkania — Wdowa! sierota! wdowa! sierota!

Siłą prawie oderwać ją musiano od mę-

ża; powstała wreszcie rozkazując zwłoki jego nieść za sobą, a cała wieś poszła za nią. Już wówczas nie żył stary Fetko Gruzda, któregośmy widzieli w początku tej powieści, a na czele gromady stał od lat kilku zjawiony w wiosce Hryć Soroka, który gdzieś z dalekiej powrócił wędrówki po długich niebytności lat; ten teraz zdawał się tajemnym zwierzchnikiem gminy.

Hryć Soroka pochodził z zamożnej rodziny wieśniaczej, która od niepamiętnych czasów jedno uprawiała pole i zamieszkiwała domostwo, a zawsze w wielkiem była poszanowaniu u wszystkich. Było ich trzech braci; najstarszy długo przodkował w gromadzie i w chacie z młodszszemi razem się godząc na jednem gospodarstwie; lecz zmarł w lat dziesiątek po ojcu i następny z Hryciem razem objął po nim dziedzictwo. Ale niedługo pracowali wspólnie, bo Hryć najmłodszy, za pozwoleniem pana niewiadomo dokąd oddalił się z wioski. Nie było go bardzo długo, lecz znać wiedziano co się z nim działo, bo o nim nie wspominano domyślając się, ani wzdychano tęskno; ale gdy kto o niego pytał, tajemni-

czo odpowiadano: — Hryć poszedł na inny chleb. Brat młodszy ożenił się wkrótce, pracował na ojcowiznie z najętym tylko parobkiem we dwojgu i z żoną, i jedną zostawisz córkę, przed pięcią laty umarł. Śmierć jego jak z pod ziemi wywołała Hrycia, który zjawił się nagle we wsi i zajął się gospodarstwem przy bratowej. Był to nie młody już człowiek, milezący, poważny, pracowity, i na niego po Fedku Gruzdzie musiał paść wybor gromady Starego, bo jój widocznie od tego prawie czasu przewodził. Rodzina Soroków zawsze jakiegoś szczególnego szacunku doznawała od współbraci; nawet gdy inni przewodniczyli gromadzie dziad, ojciec i bracia Hrycia w wielkiem byli u ludzi zachowaniu, i na ich radę, ich słowo, miano wzgląd wielki w każdym ważniejszym postanowieniu.

Chata Soroków leżała na samém wierzchołku wzgórza po którym rozrzucona była wioska i przytykała do pola usianego szaremi mogiłami zielonemi, gdzie iuż od wieków nie było smętara, ale ją zwano starém Zgliszczowiskiem; rozróżniając od drugiego w lesie teraz położonego, które Nowém Zglisz-

czem mianowano. Stare to i nieco od zwykłych chat wieśniaczych obszerniejsze domostwo, wznosiło się na szczycie pagórka otoczone gruszami i lipami, w których liczna stała pasieka. Ściany izby nieco w ziemię zapadłe, ale jeszcze zdrowe i proste, zbudowane były z zawiądnętego dębowego drzewa, które przybrało tę barwę szarą, jaką się zwykle dąb wystawiony na powietrze po długich latach odziewa.

Budowa jój była misterniejsza od dzisiejszych na prędcie kleconych jako tako chałup, i widać w niej było, że ją z jakimś przemyśłem i staraniem wznoszono.

Przed ścianką od czoła, był okap obszerny wystający, sparty na czterech słupkach rzeźbionych, takiego kształtu na jakie się już dziś nie trafia. Podpory te niepodobne wcale do niezgrabnych naśladowań słupów architektury greko-rzymskiej, były zupełnie odrębne i oryginalnego kształtu z przepaskami w pośrodku, z czółkiem dziwacznie wyrznanem i wysoką podstawą. Oprócz nich końce belek wystające na zewnątrz, a nawet krokwie, odrzwi i uszaki okien okryte były tak-

że misterną rzeźbą zręcznie wykonaną, i nie bez pewnego wdzięku. Szczyt chaty kończył się floresami a okienka wycięte w nim dla gołębi, ozdabiały różne wygięcia symetrycznie sobie odpowiadające i zgadzające się z rysunkiem szczytu. Widocznie w tej ornamentacyi starój, był ślad jakiejs sztuki, jakiegoś stylu rodzimego, który bezpowrotnie zniknął, wytępiony napływem obcych wymysłów i naśladownictwem cudzego.

Pod okapem leżały trzy kamienie na siedzenia przeznaczone, z których średni, największy kawał piaskowca, dziwnemi kształty zdawał się zdradzać, że nad nim ludzka pracowała ręka; dwa mniejsze podobne mu, miały z nim niejakić form podobieństwo.

Na podwórko wiodła wysoka brama drewniana pokryta daszkiem słomianym, związana z belek kształcących ścięty po rogach prostokąt; przy niej tuż, była mniejsza ze wschodkami furtka. Wszedłszy w dziedziniec na lewo rozciągała się chata i za nią obejście gospodarskie połączone starym zwyczajem niemal pod jednym dachem; na prawo zieleniał ogródek z ulami, gruszami, i loszkiem w zie-

mi wykopanym, na którego dachu czepiały się strojąc go prześlicznie, wielkie liście dyni. Wewnątrz chata Soroków nie różniła się niczém od innych zwyczajnych, chyba może większą czystością, wyrzynaniami na belkach i sprzętem widocznie bardzo starym, ale nie zużyтым.

Tegoż wieczora, przed chatą swoją na wielkim kamieniu z posępną twarzą siedział stary Hryć Soroka i dumiał zatopiony w myślach głębokich, a na górę po krętj ścieżynce szli powolnie ku niemu, kilku gospodarzy wioski. Z miejsca na którém spoczywał widać było daleko okolicę całą, a naprzeciw prawie, stał dwór i drzwi jego główne z między dzew połyskiwały już pogrzebowem światłem, Hryć właśnie na ten smutny blask zwrócone miał oczy.

Dwóch czy trzech gospodarzy weszli na pagórek, zobaczyli starca zadumę i jakby mu jój przerywać niechcieli, przystali trochę opodal oparłszy się o płot dębowy, szepcząc coś pomiędzy sobą. Nadeszło później kilku jeszcze, zebrała się gromadka, ale wszyscy trzymali się w oddaleniu, nie zbliżając natręt-

nie ku starcowi. On ciągle jeszcze miał oczy wlepione w drzwi jasne, które coraz widniej błyszczały wśród cienia drzew, świecami w koło katafalku pozapalanemi.

Twarz Soroki była na podziw piękna i i ślachtetna, przypominała spokojnym, głębokim smutkiem bohaterów Ossjana i starych lasów islandzkich; rzekłbyś wskrzeszone oblicze owiej postaci podań ludowych, którą wieki zolbrzymiły. Jasne i podniesione czoło obnażone z włosów u góry, strojne dokoła w długie białe spadające pukle, nie potrafiło jeszcze słońce, w dzienną dogrzewającą pracy, opalić; piękne niebieskie oczy, pełne uczucia i zadumy tęsknej, zachowały ogień i żywość młodości i w ustach był także smutek ale smutek mężki, poważny, uśmierzony doświadczeniem długiego życia, co wiele przeboleło i nauczyło się mierzyć z cierpieniem. Piękna ale niezbyt długa jeszcze broda siwa, okrywała piersi starca. Miał na sobie switę białą sznurkami pasowemi wyszywaną, z kapturem na plecach, ujętą pasem pięknym, także czerwonym; w rękę trzymał swoją wysoką baranią czapkę i zakrzywiony kij biały, z któ-

rym zawsze chodził. Laska ta dosyć wysoka, zagięta u wierzchu, była jakby godłem jakiegoś dostojęstwa, czy spadkową pamiątką, uważano bowiem, że jej wyłącznie rodzina tylko Soroków używała. Fedko iz rodzin innych pochodzący naczelnicy gminy, nie nosili takiego kija. Po bracie wziął go Hryć Soroka, a gdy Jan ciekawy pytał co znaczy ta laska w jego rękach, odpowiedział niewtajemniczonemu dworakowi — zachcieliście! a cóż ma znaczyć? podstarzałem, to się podpieram.

Rodzina starego, bezzennego dotąd Hrycia, składała się z bratowej, niemłodej już kobiety, niemal jak on poważnej i szanowanej, do której wszystkie niewiastki wiejskie biegły w każdym przypadku po radę; z synowicy Kekelji, ślicznego młodziuchnego dziewczęcia, i dalekiego krewniaka, który z parobkiem najętym całe gospodarstwo obrabiał. Szło ono dobrze, chociaż Sorokom oddawna się niepowodziło, częste klęski nawiedzały chatę i dobytek, a dzieci nawet ciężko się hodowały. Teraz na jedynaczkę Kekelję spadało dziedzictwo po ojcu i stryju i zamożny porządek i rola dobrze uprawna; nie dziw też, że ślicz-

ne dziewczę choć młodziuchne jeszcze, już miało do ręki swój ochoczych i swatów co chata.

Kiedy tak duma Hryć stary, a gromadka poważniejszych gospodarzy już się ściagnęła; jakby się ich przyjścia domyślił czy spodziewał, wstał z kamienia nagle, i obejrzał się witając ich smutnie. Ruszyli się zaraz i przystąpili wszyscy ku niemu.

— Witajcie ojcowie, — odezwał się głosem dźwięcznym powolnie — witajcie, — choć nie wesoło nam dzieci powitać się... Spadło wielkie nieszczęście na sioło nasze, jakiego niezazналиśmy dawno, ani przeczuwać mogli. Poczciwy pan nasz leży na marach, a my z wdową i sierotą zostaliśmy, wiecie że nam ich oddał, myślimyż żebyśmy spokojni byli w sumieniu, i nie zawiedli umarłego.

— Uchowaj Boże! — odezwało się kilku — uchowaj Boże! — Potrzeba pomyśleć, dodał jeden występując i śpierzając się na długim kij; — oj! bo prawda, nie było w Starém nigdy ani tak dobrego pana, ani tak wielkiego nieszczęścia! żyliśmy długo jak u Pana Boga za piecem; było się komu nami zaopiekować, teraz my sami sieroty.

— I opiekunowie, — rzekł Hryć.

— Potrzeba pomyśleć, — odezwał się inny — tak, tak! święty obowiązek nasz, związały nas ostatnie słowa zmarłego, ja sam je słyszałem, ale i bez tego gromada Starego czułaby się do litości i opieki nad pocziwą krwią swoich panów. Nie damy jej przepadać! Któż bliższy od nas?

— Tak, — zawołał Hryć po chwili, trzeba to powiedzieć wszystkim do najmniejszego dziecka, że teraz dobro ich, dobro nasze i sława nasza, ich mienie i spokój, to nasza pocziwość. Na nikogo teraz się nie spuszczać, wszyscy głowy potracą, my im gospodarze i ekonomowie. Ja sam na dwór i na potrzeby będę naglądał, żeby niczego nie brakło; wy ojcowie, uważajcie na rolę, jak skoro po pogrzebie, trzeba doorać i podosiewać. Nasienie z gromady wybierzemy.

— Rozumie się, — bądzcie Hryciu spokojni, wstydu nie zrobim ani ojcom naszym ani sobie, będzie jak być powinno w Starém, — z niejaka dumą rzekł jeden ze starszych gospodarzy. — Teraz nam o przystojnym pogrzebie pomyśleć, bo i to na nas.

— Tak! tak, — powtórzyli wszyscy, — pójdziemy, czas jest odprowadzić go, i nikt nie poniesie tylko my na mogiłki...

Hryciowi łza spadła z powieki, otarł ją i mówił dalej.

— Trzeba się nam robotą podzielić, bo jej niezabraknie, a młodym taką tylko powierzyć, gdzie więcej nóg niż głowy potrzeba, bo mogą nam sromu narobić, nie ze złej woli, ale z niedoświadczenia. Ja pójdę naradzić się z xiędzem, może tam co brakuje, trzeba wcześniej pomyśleć, wdowie teraz łyzy tylko w oczach, Foma niech zaraz zaprzęga i jedzie do Podkamienia i zamówi dla nas xięży Dominikanów z nabożeństwem i przybo-rem. Nie pożałujemy zachodu i grosza, niech ludzie widzą żeśmy go kochali, że go i po śmierci szanujemy; wezmiecie groszy z sobą — są jeszcze składkowe gromadzkie. Dwóch niech pilnuje dworu, dwóch stanie na posyłki, dwóch do toku dla pilności...

Tak rozporządzał stary z dziwną przytomnością, chociaż łyzy miał w oczach, gromada słuchała z uszanowaniem, potakując głowami słowom jego. Radzono długo i chmur-

no rozeszli się gospodarze po chatach, przed których przyzbami stały jeszcze kobiety spoglądając na dwór i szepcząc coś pomiędzy sobą. Cała wieś była w poruszeniu i nikt prócz drobnych dzieci oka nie zmrużył, bo głęboko wszyscy czuli stratę i szczerze pragnęli wspomódz pozostałe sieroty.

Hryć pożegnawszy braci przyzostał u chaty, usiadł znowu na kamieniu, i do czarnego zmierzchu z wlepionem okiem w blask świec gorejących u katafalku pozostał; potem wolnym krokiem śpierając się na kiju pociągnął się ku dworowi.

Jakże tu teraz było smutno, jak jedna chwila kirem oblokła wszystko! nawet to co nie cierpi z człowiekiem i boleści jego nie dzieli, zdawało się mieć wyraz smutku: drzewa szeleściły jakby pacierzem mogilnym, wiatr świstał z jękiem płaczliwym, mglisto płonęły żółte świece i lampy przy niskim katafalku, a na każdej ludzkiej twarzy przebiegająca śmierć wyryła piętno swoje, piętno zdumienia i strachu.

Wielka sień starego domostwa stała otworem drzwiami i oknami; w pośrodku niej

na tapczanie pokrytym kobiercem żółtkły już trup z założonemi na piersiach rękoma, czekał na ostatnie swe łożo i szczupły domek drewniany, co szczątki jego miał zamknąć na wieki. Jesienny powiew szumiał w bliskich drzewach i liście z nich pożółkłe chwilami wpędzał do izby, smutnym wieńcem zeschłej zieleni, strojąc łożo śmiertelne, rozdymając światło które kopcać gorzało długimi knoty i świszcząc w przebiegu...

U nóg zmarłego na ziemi, siedziała splekana pani Joachimowa i dziecko-sierota usnęło po płaczu... dla niej były tylko wypoczynkiem były — zatopiona w myśli chwilami zdawała się jak nieprzytomna, to znów budziła się łkaniem i jękami.

Głos pocziwego xiędza przypominający jej Boga i dziecko, sam jeden rozpacz hamował, którą widok zmarłego podbudzał.

Jana nie było jeszcze z powrotem, choć pojechał rano.

Hryć przyszedł powolnie, stanął we drzwiach, przeżegnał się, pomodlił, westchnął i oczekiwał na coś. Oblakany wzrok wdowy padł na niego po chwili, i starzec

skłonił się przed nią, szanując w niej podwojnie, swoją panią i nieszczęście jakiego doznała. Wzrok który spotkał jej wejrzenie tak był współczucia i litości pełen, tak łzami prześiały, że choć cierpienie wszelką myśl odganiało od niej, pani Joachimowa powstała i zbliżyła się ku starcowi.

— Patrz! patrz! — zawołała z jękiem przeżywającym — o! mizerne ludzkie życie! w co się to ranna moja obróciła radość; dziś jeszcze o brzasku liczyłam się do szczęśliwych... i dziś ostatnie słońce zaszło doli mojej i doli biednej dzieciny... On umarł! on umarł! I umarł tak okropnie, tak przedwcześnie, nagle, straszliwie, zostawując nas samych na Bożym świecie, samych, sieroty zupełnie!

— Nie, nie, — żywo odparł z uszanowaniem ale z uczuciem Soroka — on konający nam was powierzył, wierną swoją gromadzie. Nieśliśmy go konającego na barkach i przemówił do nas głosem ostatnim, żebyśmy byli opiekunami waszemi i ojcem dla jego dziecka... i będziemy! — dodał Hryć głośniejszym —

przysięgam to wam, oto przy tych martwych zwłokach jego.

— On to mówił? on tego chciał po was? spytała wdowa.

— To były słowa jego, słyszałem je, ale gdybym ich nie słyszał, gromada Starego poczułaby się do obowiązku swego. My z pannami naszymi złączeni jesteśmy od wieków jedną dolą i jedną ziemią, jednym kościołem i smętarzem, jednym chlebem i łzami; nasi ojcowie cierpieli z ojcami waszemi i radowali się z niemi; myśmy pracowali dla nich potem, oni dla nas krwią swoją. Nie było na wsi radości, w którejby dwór nie miał udziału, nie było w dworze wesela na któreby nas nie wezwano; wszystko nam było wspólne, aż do pracy którą wyście kierowali głową, my spełniali rękami ochoczo. Ten wiekowy węzeł pani nasza, nie zrywa nic, boby się potrzeba zaprzeć przeszłości i ojców, których chyba zwierzę nie zna; myśmy twoi opiekunowie, obrońcy, słudzy, a Bóg nad nami wszystkiemi z opieką Opatrzności.

Łzy rześiste puściły się z oczów biednej

matki i wybiegła cała wzruszona do kolebki syna, wiodąc za sobą starego.

— Oddaję go więc wam, poczeiwi bracia nasi,— zawołała — oddaję sierotę w ręce wasze, niechcę innych opiekunów dla niego nad moje serce i wasze.

Hryć pokłonił się u kołyski matce i dziecku śpiącemu, przyłożył rękę do piersi i wzrokiem szczerzej litości pobłogosławił dziecinę; gdy matka wrażeniami straszliwego dnia złamana, padła i straciła przytomność.

Zawoławszy sługi, wysunął się starzec, a pomodliwszy chwilę przed zwłokami i obejrzawszy w koło domóstwo, zaspokoiwszy księdza o potrzeby pogrzebowe, roporządziwszy ludźmi, zwrócił się nazad ku chacie.

Na drodze słyhać było zdaleka tentent zziąjanego konia, ktoś prosto leciał do dworu, a co dziwniej z szaloną wesołością urągającą smutkowi trąbił w róg myśliwski. Głos tej trąbki wrzaskliwy, ochoczy, strasznie się jakoś dziko odbijał po wzgórzach i lasach, sprzecząc dziwnie z żałobą która okrywała wioskę całą. Hryć zadrżał wstrząśniony z gniewu, i pośpieszył co miał siły przeciwko jezd-

ca, którego schwycił za cugle i wstrzymał krzepką dłonią.

— Kto tu śmie huczeć, — zawołał potężnym głosem — a to ty Janie! — rzekł zdziwiony poznając sługę nieboszczyka — to ty? co ci się stało?

Jan z rozczochrany włosiem siwym, z błyszczącym dziko okiem, krwią i łzami nabiegłym, z twarzą pałającą, w odzieniu rozwianem i oszarpanem, bez czapki, zdawał się zupełnie nieprzytomny; trzymał w drugiej ręce róg tylko co od ust odjęty, uśmiechał się i był jakby pijany. Śladu boleści na twarzy jego nie widać, tylko obłąkaniem zmieniona do niepoznania.

— Co ci się stało? oszalałeś, — powtórzył Hryć chwytając za cugle konia, który robił bokami zasapany i choć zlany od potu, rwał się bo go jeździec naglił jeszcze — Pan na marach...

— Jadę do dworu! do dworu, puszczaj mnie! jutro wielkie polowanie! wracam od księży z pod Kamienia, prosiłem wszystkich z przeorem na obławę... Ogromny odyniec w lesie! trzeba go koniecznie zabić, inaczej

nas wszystkich pożre... krew będzie się lała... wszyscy poginą... śniło mi się dziś rano...

— Ale co ci jest Janie! w głowie ci się przewraca, pan na marach!

— Kto to mówi że pan na marach! A to ty zbójco, złoczyńco, coś go zabił! — zakrzyknął stary schwytując się z konia i przypadając do Hrycia... — bezczelne kłamstwo, odszczekasz mi je. Sam wyprowadziłem go dziś na polowanie, był zdrow, uśmiechał się, to fałsz, to zdrada! to zabójstwo!...

Nim Jan miał czas scisnąć za gardło wieśniaka, bo się do niego zamierzył, już go ten pochwycił silnie za obie ręce, i tak skrepowanego zawrócił z sobą ku chacie, obawiając się żeby krzyk i trąbienie biednego obłąkanego, nowego niepokoju nie było przyczyną we dworze.

— Chodźmy, — rzekł mu Hryć — we dworze pusto, państwo wyjechali, ludzie śpią, przenocujesz u mnie.

Jan słuchał i niesłyszał, z wielkiego gniewu, pokonany, przeszedł nagle do wesołości straszniejszej jeszcze.

— Wyobraźcie sobie Hryciu, — rzekł za-

nosząc się — wszyscy dominikanie z Podkaminia, nawet nieboszczyki co to ich Tatarowie pozabijali dawniej, zjadą na jutro do ostępu. Ja nieboszczyków najwięcej prosiłem, bo ich tam éma jest... Dziki boją się białego odzienia i czarnych płaszców i krzyża świętego, bo to pewna że wszystkie bestje leśne przez djabłów są opętane... Pokropim knięę wodą święconą, a potem dalej na nich z dominikanami, pana postawię na wysokim pniu, a z sąsazy będzie patrzeć jejmość i mój Stasiék. Ale puszczajcież mnie, bo psy nie będą gotowe i ludzie się pośpią...

Hryć jakby nie téj płataniny niesłyszał, prowadził z sobą Jana do chaty, a koń tymczasem chrapiąc wyrwawszy się poleciał ku stajni. Jan wyrывał się jak mógł, ale stary wieśniak miał siłę olbrzymią i władał dworakiem jak dzieckiem. Zaprowadził go z pomocą spotkanych dwóch parobków do swojej chaty i tu do czasu zamknął w alkierzu.

— Biedny Jan, — rzekł do staréj bratowéj, — oszalał z wielkiego żalu, a na taką chorobę podobno niéma innego lekarstwa, jeno śmierć.

Młode listki wiosenne powiewały na drzewach, świat się uśmiechał znowu do życia, i na mogile pana Joachima puszczała zielona trawka; we dworze smutek i pustka, przy niej przykrzej jeszcze odbija szczebiotanie dziecięcia i jego wesołość.

Stary Jan już nie odzyskał przytomności straconéj, ale obłąkanie jego zmieniło się w łagodny smutek, myśli mu się pomięszały i pokrzyżowały, przeszłość złana z terazniejszością, a straszliwy wypadek którego był świadkiem zatarał się w pamięci zupełnie. Wyobraża on sobie, że Staś jest Joachimem, że go piasuje jak dawniej, o śmierci pana nie wie, i boi się tego wszystkiego co ma podobień-

stwo do dzika, utrzymując że djabły opętały zwierzęta. Czasem wspomina o polowaniu jakby na nie czekał i wygląda tylko zaproszonych dominikanów z Podkamienia, zwłaszcza nieboszczyków, by z nimi jechać do kniei; to znów zapomina o łowach i cały oddaje się dziecku, którego na krok odstąpić nie chce. Biedna matka przez litość nie odpycha starego, pocziwie jęj serce mimo bolu usiłuje nawet w obec obłąkanego starca dawać dziecięciu to imię jakim go Jan woła; sama złamana cierpieniem, pociesza i słodzi tego, któremu rozpacz na wieki wydarła przytomność.

Czasem wśród uśmiechu łyzy się jęj potoczą po białej twarzy, i gorączka je osuszy. Siada na ganku, z którego przez drzewa kazała przeciąć widok na mogiłki i kościółek, pogląda w tamtą stronę i duma.

Nieszczęście rzadko przyjdzie samo jedno, wlecze ono zwykle za sobą długi orszak żałobny; przed mężem jeszcze straciła Stareńska ojca, po nim już pochowała matkę jedyną swą i najlepszą przyjaciółkę, pozostał jęj brat tylko. Dobry to był człowiek i przywiązany do siostry po swojemu, ale tak się zawczasu

wciągnął do gospodarstwa, że w nim uwiązał cały; ożenienie, dwoje dzieci, uczyniły go skrzętniejszym jeszcze; człowiek a brat znikł w nim przed ekonomem, nie miał już serca tylko do swojego zajęcia. Rzadko nawet i to chyba wezwany odwiedził siostrę, która zupełnie została samotną, bo ksiądz tylko staruszek, kilka litościwych sąsiadek, czasem jaki nieproszony urzędnik, zawitał do opuszczonego dworu.

Piękna i młoda Marja wiedła we łzach i pracy, ustawicznie potrzebując sobie powtarzać że jest matką, by się z życiem pogodzić. Była to jedna z tych rzadkich dziś niewiast pojmujących przedewszystkiem świętość i wielkość obowiązków, wierzących że raz tylko w życiu kochać można i raz się życiem podzielić. Pierścionek ślubny którego nie zrzucała z palca wiązał ją z grobem na zawsze.

Nikt przecie wierzyć nie chciał, by smutek, żal i poświęcenie wspomnieniu wiecznie tak trwać miały, bo nikt nie przypuszczał żeby umarłego równie, a może więcej nad żywych kochać można. Są przecie serca rzadkie dla których duch przeżywa ciało, i wie-

cznie trwa przytomny u ich boku. Marja widziała Joachima ciągle przed zapłakanemi oczyma, sama się oszukując, dobrowolnie szukała go wzrokiem, wyglądała duszą, czekała nań jakby się tylko na chwilę oddalił i za chwilę mógł powrócić. Otaczały ją pamiątki po nim, a najulubieńszym jej pobytem był ganek z którego widziała mogiłę, lub pokój Joachima, gdzie wszystko zostało jak było za jego życia.

Tymczasem przyjaciółki i przyjaciele stawali się ją w swój sposób pocieszyć i rozzerwać, dziwując że to co weseliło drugich, ją zasmucało tylko lub męczyło.

— Przejdzie to ta tęsknota, mówili ludzie, kobieta młoda, nie może tak zwiędnąć, smutek przeboleje, zapomni i — pójdzie za mąż jak drugie.

Niektóre dodawały dobrodusznie, stawiając za przykład siebie.

— Słowo w słowo tak samo płakałam i rozpaczałam po nieboszczyku mężu, a dla tego musiałam pójść za mąż, i choć co rok daję na nabożeństwo po dawnym, bo go jeszcze ko-

cham, nie przeszkadza mi to kochać i mego terażniejszego...

Właśnie gdy się to działo, w okolicy Starego i w najbliższe sąsiedztwo przybył mężczyzna młody, całkiem nieznajomy w tej stronie, który Zalesie wziął dzierżawą. Wiedziano tylko że się nazywał Juljusz Zléwa, że trzyletnie z góry zaliczył pieniądze, i że z nikim żyć niechcąc, zamknięty w domu, oddawał się cały gospodarstwu, a wolne chwile trawił z książką lub strzelbą w rękę. Młody, przystojny i jak się zdawało nie ubogi przybysz, bo wszystko co go otaczało zdradzało dostatek, z powierzchownością świadczącą o wychowaniu, z twarzą zajmującą i smutkiem oblaną; nie mało nakłopotał okolicę od której stosunków usilnie zdawał się stronić. Nadzwyczaj więc zaintrygowało wszystkich gdy się dowiedziano nagle, że był w Starém. Na pierwszą wieść o tém, natychmiast stare pannie wykrzyknęły klaskając w dłonie. — Zobaczycie, że on się z nią ożeni!

Tymczasem tajemniczy Juljusz prawdziwie przypadkiem zawitał do Starego; potrzebował kupić drzewa na opał, i po prostu dla

umówienia się o to, przybył do ekonoma, ekonoma nie było, odesłano go do pani. Tak się zrobiła znajomość niespodzianie.

Osamotnionej kobiecie miłym być mogło, że ktoś inny, nowy, i nie tak jak starzy znajomi, natrętny, zawitał do pustego dworu. Juljusz zadziwił się temu widokowi szczerę żałoby; i mimowolnie zajął się piękną wdową. Znać łatwo wrażliwy, od razu poczuł że przypadkowa znajomość ważnym będzie w życiu jego wypadkiem. Zatrzymał się dłużej niż było potrzeba, bawił się ze Stasiem rozczulony, wysłuchał drżący krwawego opowiadania o śmierci pana Joachina i odjechał pijany, rozmarzony, smutny i szczęśliwy. Nie trudno odgadnąć że wkrótce nowa potrzeba gospodarska powołała go do Starego, gdzie równie gościnnie i mile w prostocie ducha był przyjęty; Staś go poznał i kazał mu bawić się z sobą, a ktożby odmówił co biednej sierotce? Marja pomyślała że te odwiedziny różnie ludzie tłumaczyć mogą, scisnęło jej się serce trochę, ale spokojne sumienie odepechnęło bojaźń języków złośliwych. I Juljusz zabawił dłużej, a powró-

cił do domu gorzej pijany, rozmarzony więcej, smutniejszy i szczęśliwszy.

Po kilku dniach powrócił raz trzeci, przyjechał raz czwarty, a Marja której synek polubił miłego gościa powiedziała sobie:— Coż mi ludzka mowa, gdy sierotka się moja zabawi? Mogę dla niej pocierpieć trochę, a świat pomówi, uśmiechnie się i zapomni.

Gdy się to dzieje w Starém, sąsiedztwo oblatują powiększane coraz wieści, o staraniach przybysza, już ktoś łaskawszy od innych poszedł po rozum do głowy i upłócił baśń o dawniej znajomości Juljusza z Marją, już ich żenią, już się zapraszają na nowe wesele. Ale nikt tak gorliwie nie pracuje językiem, jak pani Emerykowa.

Rzadkabo to kobieta pani Emerykowa, umysł niezmordowany, ciało nie mogące postarzeć, a płochość dziecinna mimo lat pięćdziesięciu. Miała sobie za obowiązek wiedzieć najdokładniej o wszystkiem co się działo w sąsiedztwie; znała życie każdego z najdrobniejszych szczegółami, zajmowała ją równie kłótnia małżeńska, sprzedaż zboża, odprawienie ekonoma, zmiana pokojówki i sprowadzenie

nowego czepka ze Lwowa. Z nadzwyczajną zręcznością z drobnych na pozor wiadomości, umiała ona skleić i wyrozumować rzeczy nierównie większe, których nawet w zarodzie nie było. I tak kłótnia naprzykład małżonków naprowadzała ją na drogę domysłu o innych przywiązaniach za domem, które zaraz odgadnąć usiłowała i podawała jako niemyślny komentarz sporu; sprzedaż zboża zwiastowała upadek w inwentarzach spowodowany wydatkami tajemniczymi; odprawa ekonomów tłumaczyła się jakąś potajemnie intrygą, odmiana pokojówki umizgami pańskimi, które niechybny rozwód zapowiadały; a nowy czepk ze Lwowa także mógł czasem znaczyć bardzo wiele. Pani Emerykowa nieporównanej była zręczności w wyciąganiu wniosków i sianiu wszelkiego rodzaju plotek; niezmordowanej gorliwości o dobro cudze, o moralność powszechną, gdyż zawsze niby w imię ich działała. Dziwna ta kobieta, której ani wiek, ani straty, ani choroby pokonać i złamać nie mogły, doszła pięćdziesięciu lat w niesłychanej pracy, wypłacającej się tylko wewnętrzną satysfakcją i strachem, który siał w koło sie-

bie. Rzadki dzień przesiedziała w domu, a rzadziej jeszcze trafiło się żeby gdzie niewyprawiła posłańca na wzwiady. Miała formalnych szpiegów po ważniejszych punktach okolicy i najdoskonalszą policją; nikt też do moralnej statystyki sąsiedztwa tak wybornie zebranych nieposiadał materiałów. Szczebiotliwości niepohamowanej, wesołości utrapionej, złośliwości większej niż dowcipu, pani Emerykowa panowała w domu i na języku trzymała przerażoną okolicę. Ukazanie się jej złotego koczuka i kasztanowatych koni, przestraszało jak piorun mających cokolwiek do utajenia, nie bowiem przed nią utaić się nie mogło, nawet to czego jeszcze nie było, i co się nigdy stać nie miało; ludzie jej zaledwie odłożywszy konie szli zaraz na oglądy i gawędy, z których potem ściśłą sprawę zdawać musieli. Nie raz nawet po drodze przejeżdżających żydków i posłańców wstrzymywała, żeby się od nich coś niespodzianego dowiedzieć.

Ale nadewszystko pani Emerykowa lubiła swatać, choćby nawet najstarszych, cóż dopiero młodszych? niecierpiała próżnujących: panny, kawalerowie, wdowcy, mieli w niej po-

teżnego sprzymierzeńca, a czyją sprawę wzięła do serca, musiał już dobić targu lub wiecznie się z nią poróżnić.

Pana Emeryka zwano pospolicie tylko mężem pani Emerykowej, co go już dostatecznie maluje, ulubioném jego zajęciem było siedzieć pod piecem i gryźć orzechy lub jeść pierniki. W domu nigdy o nim nie było mowy, wszystko należało i zależało do pani i od pani, ale myliłby się, ktoby z tego wnosił, że pan Emeryk był ubożuchnym dzwigniętym z nicości człowiekiem. Owszem, jejmość żadnego nie wniosła posagu, cały majątek był mężowski, on sam najpierwszym tylko i najlepszym żony sługą. Uwielbienie dla niej tak go ogłupiło że nie nie robił sam przez się, wszystko z jej rozkazu i dla niej tylko. Miał się za najszczęśliwszego, gdy w dowód zadowolenienia dała mu garść orzechów i paluszek do pocałowania.

Szanowna pani Emerykowa nie miała dotąd przyjemności znać pana Juljusza Zlewy, co ją niesłychanie niepokoiło i bolało, odzywała się już nawet:— Co to on sobie myśli,

że się bez nas obejdzie? zobaczemy! zobaczemy!

A to — zobaczemy — pełne było najstraszniejszej groźby.

Szczęściem pan Juliusz rad nie rad dał się do państwa Emeryków ściągnąć choć prawie gwałtem; gdyż po niego wysłano pana Emeryka pod pozorem kupna pszenicy na nasienie, a w istocie dla zaproszenia go do Hodowa.

Rozstawiła nań sieci znakomita instygatorka i poczęła zaraz bardzo zręcznie badać, ale Juliusz z uśmiechem na ustach, wykręcał się wprawnie a grzecznie z zapytań nic na nie nie odpowiadając, potrafił jednak nie rozgniewać milczeniem upartém.

Powierzchnowość przybylca, tak jakoś przypadła do smaku pani Emerykowej, że zaraz po pierwszych odwiedzinach zawyrokowała:—Bardzo przyzwoity człowiek, niezmiernie mi się podobał, pełen taktu! Dójdziemy kto taki, juściż nie żyd i nie wychrzta, nazywałby się inaczéj i ma herbowny sygnet na palcu. Ma coś dystyngwowanego, francuzczyzna dobra, manjery większego świata...

Dowiedziała się natychmiast nasza pani o pierwszych, drugich i następnych odwiedzinach Juljusza w Starém, zatarła ręce z radości i po cichu szeptała już: niezawodnie się skojarzy!

Przeczekawszy czas niejaki, nie bez myśli rzucając tu i ówdzie słówko o tém, aby dla nikogo bywanie Juljusza nie mogło być tajemnicą; pani Emerykowa wybrała się nareście dla dokończenia sprawy do Starego; obiecując sobie że oświeci wdowę i przyspieszy pożądane wesele, które za swoje dzieło uważać chciała.

Zastała Marję w zamku z dziecięciem, ubraną jak zawsze w grubą żałobę, a przy niej starego Hrycia, który tylko co skończył z nią długą jakąś naradę i powolnie za przybyciem gości się oddalił.

W początku obojętnie zagaiła rozmowę, ale wkrótce odprawivszy dziecię, gdy język coraz mocniej świerzbieć poczynął, przystąpiła do rzeczy.

—Moja tedy kochana pani, — zawołała przysuwając się z przymileniem do niej, — pozwól sobie usłużyć szczerą, dobrą, przyja-

cielską radą. Do czego to, proszę cię, ta żałoba, te smutki? juściż tak całego życia spędzić w Starém sama jedna nie myślisz, bo musisz kiedyś przecie pójść za mąż.

—Ja? za mąż! — porywając się z oburzeniem i uśmiechem politowania razem, zawołała wdowa — ja! pójść za mąż!

—Ale dla czegoż?

—Dla tego, że kocham zmarłego, jakem go żywym kochała, i kocham dziecię moje.

—Ale cóż to przeszkadza?

—Możeż być żebyś mnie pani o to pytała? — odęzwała się Marja z podziwieniem nawiwném tak, że swacha zmięszana oczy spuścić musiała. — Kochając jednego, być żoną drugiego dobrowolnie... godziż się i jest-li podobna?

—Przyznam ci się, że tój przesadzonej delikatności nie rozumiem, — po chwili odpowiedziała Emerykowa — prędzej później nie dasz sobie rady, znudzisz się... i...

—Ja? mając dziecię i wspomnienie!

—Tyś tak młoda! Staś pójdziesz w świat od ciebie, zostaniesz sama... pozwólże mi myśl moją dokończyć, — dodała widząc, że

pani Joachimowa zabięra się jęj przerwać, na-
cóż masz marnować życie? potrzeba ci pójść
za mąż, a kiedy już masz iść...

—Ale ja nie pójde!

—Tak ci się zdaje, o! to imaginacya!
Więc kiedy już masz iść, zacóż nie teraz,
kiedy jak wiemy (wymówiła z przyciskiem)
stręczy ci się tak przyzwoity młody człowiek.

—Mnie! — krzyknęła cała zapłoniona ła-
miąc ręce pani Stareńska — mnie! któż to
śmiał powiedzieć?

—O, zmiłuj się! do czegoż to udawanie?
Alboż nie wiedzą wszyscy, że Juljusz się w to-
bie kocha? Darmoby się zapięrać... Czemu już
lepiej nie kończycie...

Trudno odmalować z jaką gorączką gnie-
wu i zniecierpliwienia porwała się Marja i pod-
biegła do swachy z zaciśnionemi rękoma.

—Masz pani, — zawołała żywo, — masz
pani dla mnie choć cokolwiek przyjaźni?

—Zmiłuj się! alboż o tém wątpisz?

—Dajże mi pani jęj dowód, i nie wspo-
minaj mi nigdy o zamęzciu. To obelga dla
mnie. Pan Juljusz jest, nie zaprzeczam, bar-
dzo miłym człowiekiem, mam dla niego wie-

le szacunku, lubię jego towarzystwo, bo go
Staś mój pokochał, ale od tego do złamania
ślubu... o! daleko jeszcze, pani!

—Jakiż to ślub ci w głowie? moja Ma-
rysiu! — z podziwieniem odezwała się Eme-
rykowa.

—Ślub który mnie z mężem łączy.

—Ależ on umarł.

—Tak jest, umarł dochowawszy swęj
przysięgi; ja żyję, i pozostaje mi moją speł-
nić, trwając do śmierci wierną jego pamięci;
tego dopełnię.

Po tych wyrazach wyrzeczonych z zapa-
łem, głosem który nie dozwalał odpowiedzi;
zamilkła uparta sąsiadka, zamyśliła się i kwa-
śno pożegnać miała dziwaczną, jak ją w du-
chu zwała, kobietę, gdy przypadkiem Juljusz
nadjechał. Oczy jęj zabłysły — została.

Wdowa chmurno przyjęła gościa, domy-
ślając się jakiś zmowy tam, gdzie nie było
żadnej, niecierpliwość i oburzenie nią miota-
ły i po chwili, wytrwać nie mogąc, wstała
i zbliżyła się poważnie do młodego człowieka.

—Zadziwisz się pan, — odezwała się z u-
czuciem godności i niejaką dumą, że sama

poczną rozmowę niezwykają i przykrą dla mnie, ażeby ją raz nazawsze zakończyć...

Juljusz powstał nie mogąc sobie zrazu wytłumaczyć, co to znaczyło, wlepił w nią oczy i zadrżał.

—Posadzają już pana, najniewinniej zapewne, że masz czulsze dla biednej wdowy uczucie nad prostą litość. Ja pana tak płochym nie sędzę. Za taki wybór, w który jednak nie wierzę, musiałabym być wdzięczną według ludzkiego sądu, a w istocie serce mi prawie gniewać się zań każe. Nie łudź się pan, jeżeli myślisz o mnie: ta suknia czarna, to dziecię które nad życie kocham, ta mogiła na którą codziennie patrzę, dość mówić powinny, że nigdy się nie uczuję rozwiązaną z przysięgi, która mnie wiąże do śmierci. Jestem żoną umarłego, ale zawsze żoną... nikt o mnie starać się nie może, boby mi tém najboleśniejszą wyrządził krzywdę: posadziłby mnie o brak sumienia, o brak serca, o nędzne udawanie. Ja cierpię, a uragać się boleści nie godzi.

I łzy wytrysły z oczów wdowy. Juljusz

stał pomieszany, pani Emeryowka zagryzła wargi i targała woreczek.

—Przebacz mi pani,—rzekł nareszcie ochłonawszy nieco Juljusz,—jeślim był dla niej powodem mimowolnym przykrości, bolał mnie te łzy, za które chętnie wylałbym krew moją. Jeślim miał myśl jaką, zostanie ona we mnie pogrzebaną na wieki; nikogom jednak, wierzaj mi pani, do odgadywania jej nie ośmielił.

Spójrzał na sąsiadkę.

—Odtąd pozwól mi pani pocieszać się jej szacunkiem i życzliwością, ja więcej nie żądam.

—Masz pan,—podając mu drżącą rękę rzekła Marja,—szacunek, przyjaźń, życzliwość, boś na nie zasłużył, i z tego nie robię tajemnicy, ale powtarzam to, serce moje w grobie męża, ręka w jego pierścieniu, jestem żoną i matką, nikt nie powinien zbliżać się do téj sukni czarnej jak sukni kapłana, z myślą płochą, bo go ze wzgardą odepchnę...

To mówiąc usiadła poruszona i drżąca.

—Nie rozumiem, co mogło być powodem oburzenia pani na mnie,—rzekł po chwili Juljusz, boli mnie to tém więcej, że wygnanemu ze Starego, tęskno będzie jak po raj.

—Ja wcale pana nie wyganim,—uspokajając się nieco zawołała wdowa,—mniejsza mi o to, że ludzie różnie sobie nasz stosunek tłumaczyć będą, bo ludzie ludźmi są zawsze, muszą szukać czegoś brudnego, żeby się nieco pokarmić; proszę pana owszem żebyś u mnie bywał, ale bez myśli żadnej, bez żadnego zamiaru... inaczej, mniebyś pan obraził, a siebie zawiódł.

Pani Emerykowej pozostawało wyjechać tylko, nie miała co powiedzieć, burzyła się cała, i już myślała jak w sąsiedztwie całą tę scenę, którą nazywała komedią, opisywać będzie; przeszedłszy się więc parę razy po pokoju i niby przepatrując kwiatki stojące na oknach, wejrzała na zegarek jakby z przypadku, szybko pożegnała wdowę i zostawując ją sam na sam z Juluszem, pośpieszyła do domu.

Zmieszany, smutny gość chwilę jeszcze przystał, pobawił się w kątku ze Stasiem, nie śmiał już słowa powiedzieć, żeby nie dać powodu do nowych tłumaczeń i objaśnień bolesnych; nareszcie wziął za kapelusz, i chciał się wysunąć, ale wdowa poczęła sama.

—Muszę się panu wytłumaczyć z mojej

gwałtowności,—odezwała się prawie ze łzami.

—Domyślam się, że powodem wszystkiego musiała być usłużna sąsiadka.

—Tak jest, dała mi uczuć boleśnie, jakie świat ma wyobrażenie o mnie, jak ludzie ocenili serce moje...

—Nie sądź pani o wszystkich z tej opłakaną próbką,—żywo odparł Julusz— to wyjątek...

—Jakkolwiek bądź, słówko jej niebaczne dotknęło mnie do żywego. Więc mi nie wierzą! więc sądzą, że kłamię łzami! kłamię sukną! samotnością! żalem! wszystkiem!

—Ależ pani, powtarzam, to wyjątek...

—O biedne my kobiety!—ciszej zapłakała wdowa—biedne my kobiety...—I twarz ukryła w dłoniach, zamysławiając się łzawo i długo; widok ten przeszył młodego człowieka, uczuł jakby zgryzotę sumienia za myśli, które mu przez serce przebieść mogły, zwiły się i jego oczy, niepostrzeżony wysunął się z pokoju.

Smutny włókł się ku pustemu swojemu mieszkaniu, z myślami dziwnie przykręmi, z jakimś odrętwieniem na wszystko; kochał więc,

bolał z odebrania nadziei, ale że kochał pocziwie, myśl, że będzie mógł widywać Marią i daleką nad nią czuwać opieką, trochę otuchy wlewała do serca zakrwawionego niespodzianie i srodze.

Zkąd i jak wzięła się ta miłość? jak niespodzianie na tak gwałtowne uczucie urosła, jak zapełniła w nim próżnię serca i duszy, i zagarnęła w siebie życie całe, Juljusz sam o tém nie wiedział.

Niedawno zraniony boleśnie, schronił się na wieś pragnąc zapomnienia i spokoju, chcąc wypocząć i opamiętać się po szalonych burzliwych dosyć młodości; tu znowu spotykał niewyminioną namiętność, udręczenie nowe i rozpacz. — Nigdzie więc niema dla mnie spoczynku? nigdzie ciszy? — myślał jadąc lasem i puszczając cugle koniowi — za ledwie jedno zamknęły się rany, już drugim sobie otworzył! szalony! nigdyż nie zestarzeję, nie ochłone, nie skończę tej walki z sercem własnym, które na oślep się rzuca na każde światło, jak ćma przeznaczona na spalenie? Nie! nie! widzieć jej nie chcę, zamknę się

znowu, przeboleję, zapomnę, pozostanie pocziwa gorąca przyjaźń i nic więcej!

Mówił te słowa żywo, namiętnie i podniósł machinalnie głowę, jakby wyrzekał uroczystą przysięgę; gdy wtém widok jakiś niespodziany, dziwny, wyrwał mu z piersi wykrzyk, a ręka wstrzymała konia.

Znajdował się właśnie w pośrodku lasów należących do Starego, na uroczysku zwaném Ładowym gajem, po nad którym przebiegała mało uczęszczana drożyna wiodąca do Zalesia.

Ładowy gaj leżał na wyniosłym wzgórzu i składał się z rzadko rozsianych po zielonej murawie odwiecznych dębów, u stóp których nic nie rośło, tylko jak w parku angielskim szmaragdowa niska trawka. Na samém tego wzgórza wierzchołku, był usyp jakiś jakby krągła wielka mogiła, z rodzaju tych, które u Awarów, Ringe zwano, w pośrodku próżny i zakłęsty, a tak obszerny, że się w niém kilkadziesiąt osób łatwo pomieścić mogło. Dołem po nad samą dróżką sączył się strumyk otoczony sitowiem i ubrany kwiatkami, kręto płatał się pomiędzy drzewy i niknął w oddaleniu wśród gliniastych obrywów.

Miejsce było bardzo piękne i coś poważnie smutnego otaczało tę tajemniczą, starą, milczącą już od wieków mogiłę, pracę ludzi których kości oddawna ziemia pożarła; nie piękność jednak miejsca uderzyła tak bardzo Juljusza, ani widok tego nieodgadnionego usypu, ale postać która w zamyśleniu dziwnym stała u mogiły. Był to starzec z siwą brodą spływającą na piersi, tak pięknych i wyrazistych rysów twarzy, tak można rzecz natchnionej postaci, że u stóp grobowca zdawał się z niego wychodzić jak nie ziemskie zjawisko. Sparty na białym kiju zagiętym, poglądał pod nogi swoje oczyma smętnie w ziemię wlepionemi, i ani postrzegł ani posłyszał przybycia Juljusza.

W chwili gdy podróżny nasz pół głosem wykrzyknął zdziwiony wpatrując się w starca, najróżniejsze w rysach twarzy objawiając uczucia — wieśniak, gdyż ubior miał kmiecy, zoczywszy go nareście, wpatrzywszy się w Juljusza chwilę, szybko chciał usunąć się za mogiłę, ale jakby się rozmyślił zaraz, przyzostał i śmiało zmierzył okiem stojącego w miejscu młodego człowieka.

Oczy ich spotkały się, a Julusz nie pewien, to otwierał usta chcąc coś przemówić, to je milczące przymykał. Widać było że się wahał, że poznawał i nie był pewien że go nie zdradzają oczy, że chciał powitać i nie śmiał... Starzec wciąż obojętnie przypatrywał się jeźdźcowi, który stał w miejscu.

Nareście po dłuższej chwili Julusz zeskoczył z konia i szybko przybliżał się ku dziwnemu dla siebie zjawisku, o kilka kroków jeszcze raz stanął, wlepił wzrok wyteżony, i zawołał:

— Ale to ty! to ty jesteś! nie mogę cię nie poznać, choć zaprawdę, z tą brodą, w tym stroju, w tej stronie kto innyby się omylił, ale nie ja! — I rzucił się ku starcowi.

On stał jeszcze nieruchomy, tylko uśmiech jakiś przebiegł mu po ustach.

Julusz się zastanowił.

— Miałoby mnie tak nadzwyczajne uwoździć podobieństwo? jestli dwóch ludzi tak dziwnie bliznięco do siebie podobnych? Nie! nie! ja się nie mylę.

Postąpił jeszcze, a wtém starzec przemówił łagodnie, zdejmując czapkę i kłaniając mu

się do kolan z pewnym rodzajem dobrodusznój ironji.

— Tak, jasny panie, to ja! nie mylisz się!

— Coż to za dzień nadzwyczajności! — zawołał Juljusz — co to za komedya? powiedz mi, patrzę i oczom nie wierzę... Ty... tutaj, w tym stroju, wytłumaczże mi proszę tę zagadkę, ale naprzód uścisknijmy się po staremu.

To mówiąc przyskoczył gorąco i ucałował starego, który przejęty jakimś uczuciem, silnie go objął w milczeniu, i gdy ręce opadły, łza mu w oku zabłysła.

— Na Boga! nie jesteś-li w niebezpieczeństwie jakim? Kryjesz się i uciekasz? mów? co to jest, szczęściem mogę ci być pomocą.

Hryć Soroka, gdyż to on był, znowu ironicznie się tylko uśmiechnął.

— E! mój panie Julianie, — rzekł rubasznie — nie szukajcie darmo po głowie dziwolągów; ani się kryję, anim przebrany, a jeśli grozi komu niebezpieczeństwo, to pewnie nie mnie.

Słów tych nieuwvažał Juljusz, który począł nalegać gorąco.

— Na Boga, mój zacny i pocciwy nau-

czycielu, wytłumaczże mi co się z tobą stało? i co to znaczy?

— Zdaje mi się, — odrzekł smutnie Soroka — że gdybym ci się jak najszczerzej wytłumaczył, nie bardzobyś mnie zrozumiał.

Juljusz zamilkł.

— Ale ta suknia, — rzekł po chwili — ta broda, to oddalenie z miejsca w którym zdwaleś się osiadłym na zawsze.

— Mój kochany panie Julianie, — odparł starzec — nigdy człek nie wie co los z nim zrobi, na zawsze spoczniemy tylko w grobie... a na ziemi, nie ma zawsze...

— Coż tu robisz? — spytał znowu coraz silniej zajęty młodzieniec — Jakto? mnie, nie chciałbyś powiedzieć, zwierzyć się? mnie nawet?

Stary uśmiechnął się trochę weselej.

— Lubiłem cię bardzo, mój kochany uczniu, rzekł powolnie — byłeś n mnie Benjaminkiem, nie zgubiłem cię z oczu nawet, gdyś się w świat puścił, bom przywiązał się do ciebie; ale nie łudziłem się nigdy, zawszem widział w tobie nieszczęśliwego wrażliwego chłopaka, co w zapale gotów był życie dać dla człowieka, dla

ludzkości, dla myśli szlachetnej, i jutro toż samo życie postawić na kartę dla igraszki, dla zabawki, dla roztargnienia, dla pięknych oczek w których błysło trochę życia i nadziei. Jakże chcesz bym tak płochemu choć najpocziwшему, zwierzał się z tego co może jest tajemnicą życia mego!

— Na Boga! ale kiedyżem zaufanie zdradził? — zawołał Juljusz.

— Poczekajno, poczekaj, nie rozpalaj się i nie krzycz, widzę że tu nie miejsce do rozmowy, pójdźmy na ustron trochę.

To mówiąc ruszył się Hryć z pagórka, a Juljusz wiodąc konia za sobą postąpił za nim milczący, lecz jeszcze pod wpływem podziwiania i rozdrażnionej ciekawości; szli a oczy młodzieńca nie opuściły na chwilę tajemniczej postaci, którą miał przed sobą, jakby ją wzrokiem chciał przeszyć do głębi i odgadnąć.

Spuściwszy się ze wzgórza, przeszedłszy strumyk i okrążywszy część wyniosłości na której rośł Ładowy gaj, znaleźli się w parowie zarostym krzewami z góry i tak gałęzmi ich zasklepionym, że promień słońca nigdy się tu nie mógł przecisnąć. Z pod jednej ściany

obrywu, z dębowego ocembrowania sączyło się źródło z którego powstawał strumień. Gliniaste wysokie i strome boki parowu osłaniały ze trzech stron tę ustron w której głębi ciemność była zupełna. Szeroki kamień leżał nieopodal od wnijscia, na nim zasiedli przybyli, i Juljusz chwycił starca za rękę niespokojnie, z bolesnym wyrzutem w twarzy.

— A! ciężkoś mnie dotknął, mój drogi nauczycielu, rzekł, więcem ja tak płochy, tak nieroztropny, że mi nawet nie śmiesz powiedzieć nic o sobie, wiedząc jak cię kocham? Mógłżebym cię zdradzić? powiedz!

Hryć sparł się na swojej lasce, odwrócił twarz ku towarzyszowi i odpowiedział powolnie.

— Wiele to lat jakeśmy się nie widzieli?

— Nie wiem, blisko podobno dziesiątka! odparł Juljusz.

— Dziesięć się skończy teraz, — rzekł Hryć Soroka — a wiele też razy od tej pory kochałeś się Juljuszu, byłeś szczęśliwy i nie-szczęśliwy; zrozpaczony i pełen nadziei, wiele razy traciłeś majątek i wygrywałeś go znowu? wiele razy zmieniałeś sposób życia i z pustel-

nika przerobiłeś się na miejskiego wytwornisia.

Juljusz się zaczerwienił.

— Nie wiem wiele to razy w przeciagu tych lat dziesięciu spotkać mnie mogło, ale to pewna, — rzekł z zapalem szlachetnym — żem ani razu nie zdradził nikogo?

— Jakto? nawet kochanki?

— Zdradzono mnie, alem ja niewinny.

— Tyś na to przeznaczony, — smutnie powoli odpowiedział stary — prawda! prawda! mój biedny męczenniku namiętności! No! daj mi wymówkę, która być mogła gorzką, ale doprawdy gdybyś się żalił żem ci płochość zarzucił, nie miałbyś do tego prawa!

Juljusz zamilkł.

— Powiedźże mi na przykład, — ciągnął dalej Hryć — ledwie tu przybywszy, jakże było można świeżo przebolawszy tyle...

— Ale zkądże ty to wiesz?

— Ja wiem wszystko, — uśmiechnął się stary — i temu się nie dziwuj, bo to tak zawsze bywało. Jakże można, byś świeżo przebolawszy, przybywszy tu z rozpaczą nieuleczoną, boś tak ją nazywał, z zamiarem zmia-

ny życia i osamotnienia, jak można byś tak prędko znowu, ledwie zastudziwszy serce z jednego uczucia, rozgorzał zaraz drugim?

Juljusz powstał. — Ale mój kochany tatku, pozwól się po dawnemu nazywać, zkądże ta wszechwiedza — rzekł pokrywając żartem wrazenie — wiesz jak tu przybyłem, i wiesz już nawet co myślę w tej chwili?

— Wszak tak zawsze bywało, — odpowiedział stary — przypomnij sobie, niceście przedemną ukryć nie mogli; cóż dziwnego że i teraz po kroku jaki uczynisz, dopytuję się uczucia, które za niemi idzie nieuchronnie?

— Zkądże wiesz kroki?

— Bo na nie patrzę...

— Chcesz więc bym oszalał... ja tego nie rozumiem.

— Może kiedyś wszystko ci się jaśniej wytłumaczy — powolnie mówił Hryć wstając — teraz czas się nam rozejść...

— I porzucisz mnie tak?

— Nie na długo, zobaczymy się...

Juljusz odchodzić nie chciał, stał wryty, wtém jakby na jego szczęście silny grzmot dał się słyszeć; błysnęło szeroko, grom roz-

legł się po lesie i górach, wicher zaszumił i ogromne deszczu krople, spadać poczęły na głowy z między rzadszych u wnijsia gałęzi.

— Burza! burza straszna! — potraszając głową rzekł Hryć — a ja zapomniawszy o niej, wstrzymałem cię za długo i do wsi do karczmy daleko, niewiedzieć dokąd się schronić.

Stanął i podumał chwilę.

— Musimy się wstrzymać, — odezwał się po namyśle stary wieśniak — burza będzie straszna i długa, do wsi mila, karczmy żadnej, jechałby ci było niebezpiecznie i przykro. Może wreszcie znajdę przyporzysko!

To mówiąc zawrócił się nazad w wąwóz ciemny.

— Jeśli w tym parowie, — rzekł Juljusz — to na taką burzę, wszystko jedno co pod gołem niebem...

— Znajdziemy coś lepszego, — tajemniczo szepnął stary — tylko panie Juljanie, zapomnij proszę żeś tam był dokąd cię prowadzę; jest to skrytka na wypadek wojny, nieszczęścia jakiego, wydawać się jej nie godzi, kto wie, pod te czasy bardzo przydać się może...

— Znowu posadzacie mnie!

— Juściż niekiedy ci ją odkrywam. Za mną, za mną, a żywo! burza się zbliża, niezadługo las zadrży i drzewa polecą nam na głowy! uciekajmy.

Posunęli się uwiązawszy wprzód konia u wnijsia, w głąb jaru ciemnego, który na trzy czy cztery rozdzielał się gałęzie; Hryć po namyśle skierował się w prawo i stanęli przed ścianą gliniastą zakończającą nagle rozpadlinę. Tu niewielka bryła ziemi porośła trawami, mchem i drobnymi krzewami, pchnięta silną dłonią starca, odtoczyła się nieco i za nią pokazał się czarny otwór.

— Schyl się i wchodź za mną, — rzekł stary zręcznie wsuwając się przodem.

Szeroko znów rozświecająca świat błyskawica wskazała wyraźniej paszczę pieczary, do której za swym przewodnikiem wszedł Juljusz. Stary schwycił go za rękę, bo zrazu nic rozeznąć nie mógł i ciemno mu było jak w grobie, oczy jego olśnione oswoić się nawet nie mogły z przepaścistą nocą tego dziwnego podziemia, w którym powietrze chłodne i orzeźwiające zdawało się dowodzić że się daleko rozciągało. Czuć było nawet jakby

lekki przewiew, po którym pomiarkował Juljusz, że gdzieś dalej inne wejście lub otwory być muszą.

— Stójże teraz w miejscu, — rzekł Hryć puszczając jego rękę, a ja się o światło postaram. — To mówiąc postąpił kilka kroków i po niedługim oczekiwaniu, zapalił grubą, nie foremnie zlepioną świecę woskową.

Zewnątrz rozlegający się łoskot nadchodzącej burzy, która drzewa wywracała z korzeniami, bijących jeden po drugim piorunów, szum ulewnego strumienia spadającego deszczu, nagłe przejście w ciemność, doznane dnia tego uczucia, przyłożyły się do wywarcia na Juljuszu mocnego wrażenia widokiem pieczary, którą przy słabym blasku zażegnionej świecy ciekawie oglądał. Światło powolnie rozlewające się, ukazało mu wyżłobione ręką ludzką podziemie którego sklepienie nieforemne spierało się tu i ówdzie na zostawionych ogromnych ciężkich z gliny słupach. W ścianach oczerniałych od dymu, widać było porobione wgłębienia, a pod nimi wciąż idące przyzby szerokie, służyły zapewne za siedzenia i miejsca spoczynku. Pod nogami wa-

lały się węgle zagasłych ognisk i kości. Juljusz z przerażeniem postrzegł u stóp swoich niedogorzałą czaszkę ludzką. Powiodł wzrokiem milczący, chcąc zbadać głębią podziemia i niedopatrzył końca: pieczara zniżając się zakręcając w różnych kierunkach, ciągnęła się daleko w górę na której stał Ładowy Gaj. Gdzieniedzie z pękniętego jej stropu zwieszały się blade korzonki drzew, które przebiwszy go cienkimi niemi wyciągnionymi w próżnię, zdawały się szukać uciekającej im ziemi.

Juljusz nie mógł się napatrzeć nowego dla siebie i zajmującego widoku, stary Hryć stał przed nim i patrzył w twarz jego badając wrażenia jakie na nim to dziwne schronienie, wysłane kośćmi ludzkimi uczyni.

Młody człowiek chciał się posunąć dalej: ale go towarzysz wstrzymał.

— Zostańmy tu, — rzekł — niema tam nic do widzenia, siadaj na tej ławie gliniastej i spoczni; puszczać się dalej i niepotrzebna i niebezpieczna.

— A dalekoż ciągnie się ta pieczara? — spytał Juljusz gdy stary zastaniając światło

od przewiewu przytwierdzał je do jednego z bliższych słupów.

— Nie wiem, — odparł Hryć — końca jój nikt niedoszedł.

— Szkoda! to ciekawa starożytność, możeby się co w niej odkryło.

Ta uwaga widocznie zniecierpliwiła staroego który brew zmarszczył i posępniej odpowiedział:

— Coż się tu znaleźć może, nagie ściany, kości trochę i popiołu, ja byłem daleko w głębi, toż samo co tutaj, tylko niedoperzów więcej.

— Ale muszą być jakieś podania o tój ja-skini? coż znaczą te kości? — badał Juljusz, cały zaprzątniony nowém odkryciem, rozglądając się — to widocznie są czaszki ludzkie.

Starzec zamilkł, i zdawał się przysłuchiwać burzy, która wrzała coraz się jeszcze powiększając nad ich głowami; chwilami z wstrząśnionej ziemi sklepienia sypały się na nich drobne obłamy, koń Juljusza rżał niespokojny u wnijsia.

Po chwili z westchnieniem usiadł Hryć przy młodym człowieku i kładąc mu rękę na kolanach, zapytał:

— Julku mój, nie słuchajmy tój burzy, korzystajmy z chwili, powiedz mi swoją historję i poskarż na to coś wycierpiał, znajdziesz i dziś może pod tą sukmaną serce co ci z dobrą radą pośpieszy.

— Ale naprzód, stary mój nauczycielu, wytłumacz mi siebie!

— Dziwnieś ciekawy!

— Daruj, ale któżby nim nie był.

— Tymczasem to bardzo prosta historja — dodał smutniej Soroka, — chciałeś jój, słuchaj więc, ale bądź cierpliwy, bo żeby ci mógł wytłumaczyć sukmanę którą na mnie dziś widzisz, wiele wprzód rzeczy powiedzieć muszę, nawet takich które nie rad mówię. Uzbrój się w cierpliwość, kochany Julku i daj mi słowo, że to co powiem niepowtórzy się nigdy i nikomu.

Juljusz wyciągnął rękę do starca.

— O tём i wspominać nie potrzeba, — rzekł uroczyście — możecie mi powierzyć co chcecie, umrze toż ze mną pewnie.

— Niech z tobą żyje, to większa sztuka, — dodał Soroka, a teraz słuchaj spowiedzi, którą sam wyzwałeś.

Trzeba żebyś wiedział naprzód, że twój stary nauczyciel, ów Grzegorz Soroka, co śmiał karcić dzieci ślacheckie i nieraz krnąbrnego panicza za ucho pociągnął, jest, był i będzie prostym kmiotkiem.

Juljusz spójrzył wielkimi oczyma, a starzec z lekka się uśmiechnął, jego podziwieniu.

— Zdziwi cię to może zem ślacheica udawał i nie chwalił się pochodzeniem swoim, milcząc o mojej przeszłości — ale dziwić niepowinno. Żle znacie przeszłość naszą, jeśli podobne uślacheenie wieśniaka zdumiewać was może. Przykładów jego tysiące macie w dawnych dziejach waszych; dopiero

w ostatnich nieszczęśliwych czasach a szczególnie w krajach przez polską na rusi podbitych i przyswojonych, żywioł ślachecki z powodu różnic narodowości wyrobił się zupełnie odrębny i oddzielił całkiem od ludu pospolitego. Dawniej zasłużonych kmieciów panowie do herbów nawet przyjmowali, a Batory pocziwój swój wieśniaczęj piechoty pod Pskowem i Połockiem wysłać niemało. Jeszcze w odleglejszych wiekach Polski, kmieć nie był wcale poniżony, ani spodlony jak w najbliższych nas czasach wyjątkowo bywał; bo ogólnie rzeczy biorąc nigdzie u nas niebyło ucisku, nigdzie takiej niewoli jak na zachodzie, choć zachód niepojmując instytucji naszych, wiecznie nam je wyrzucał. Uwierzyliśmy obcym i o tym ucisku, papugi powtarzaliśmy za niemi!

Jak tajemnie sączące się strumyki wielką podsycają rzekę, tak lud niewidocznie wyborem swym zasilął szlachtę. Wiedzieli nieraz panowie o uślachejącym się chłopie i milczeli, bo czuli, choć sobie z tego może sprawy nie zdawali, że ślacheństwo głównie się zasadza na poświęceniu dla kraju, a kto w ja-

kikolwiek sposób poświęca się dla niego, już przez ten czyn sam zostaje ślachimem. Dla tego wszelaki talent, zasługa wojenna, dawaly zawsze slachectwo i ile krwawych pol w waszych tarczach, tyle slachty co sie dobita poswieceniem miejsca dla potomkow swoich, uprzywilijowanego wspomnieniem. Teraz moze kupuje sie w niektorych krajach slachectwo i tytuly, daja to za pieniadze, co sie krwia tylko zdobyć moglo, ale tez to wiek wcale nie slachecki, pojecie nawet slachectwa zostalo sfalszowane lub zniesione.

Widziałeś mnie w sukni waszej, na równi stojącego z wami — alem ja i wówczas w sercu był kmieciem, choć dla próżnej młodzieńczej żądzy wyniesienia się, oświecenia i nie określonych jakich nadziei, wyrwałem się z tego stanu. Jak? to ci zaraz opowiem.

Trzeba byś wiedział, że panowie Starego, niebyli innym podobni — wieś to może w kraju jedyna, w której lud z panem starą jeszcze słowiańską jednotę stanowił, w której patriarchalny związek ten, nie nadwerężyło na chwilę, my i panowie nasi nie sta-

liśmy nigdy w przeciwieństwie i w walce jak gdzie indziej poddani i dziedzice, aleśmy trwali z pokoleń w pokolenia w miłości, zgodzie i połączeniu.

Niema w tym nic dziwnego wcale, tak w dawnych wiekach było wszędzie. Żle sobie wyobrażają zagorzalcy, dawny w Polsce rzeczy porządek i zasadzając się na wyjątkowych uciskach, na występkach, które są po dziś głośne, z nich stan włóścian przedwiekuisty chcą zrozumieć i odtworzyć. Ani owe wyjątki, ani to co nam w prawach pozostało, nie objaśnia o stosunkach panów i kmieci — prawo nie urządzało tej zawisłości ale zwyczaj, był to żywy rzeczy porządek zasadzający się na tradycji, i dziś dla badaczy co wszystkiego szukają w papierze, nieodgadniony.

Było wcale co innego — była społeczność w sobie właściwy sposób urządzona, związana miłością, wymiarem słusznym pracy i stopniowaniem koniecznym wszędzie, a nikogo nie poniżającym. Pan był ojcem swęj włóści, a on i ludzie jego stanowili zupełną jedność — była to więc może niż społeczność zwią-

zana interesem materialnym, była to przysposobiona rodzina, był to węzeł patriarchalny. Nie mówię o wyjątkach, bo gdzież ich niema? to źle tylko, że później historia całkiem się na nich oparła, zabywszy co umarło w ciszy, to jest normalnego bytu.

W ogóle przywiązanie człowieka naszego stanu do ziemi było całkiem dobrowolne, jak tego nazwanie wielu osad po dziś dzień jeszcze dowodzi; zależność jego od dziedzica raczej dobrodziejstwem mogła się zwać niż przymusem. Ale też panowie inaczej pojmowali swe obowiązki i duch jeden, duch chrześcijańskiej miłości ożywiał wszystkich. Dwór stał na czele wioski, był jej rządem, jej sądzią, ale zarazem jej opiekunem, spichlerzem, podskarbin, obrońcą, przedstawicielem. Dopiero później, gdy szlachta się zepsuła pod wpływem zachodniej cudzoziemszczyzny i straciła uczucie obowiązków chrześcijańskich z utratą ducha wiary, pan mógł się stać niesprawiedliwym względem swój gromadki.

W dawnych czasach, w tych o których wiedzą najlepiej podania nasze, w słowiańskim bycie patriarchalnym, w pierwszych wiekach

gorliwego chrześcijaństwa, nie było przykładu nadużyć władzy i gwałtu. Owszem społeczność owa, była czémś idealnie doskonałym: ślachcie kierował mniej więcej rozległą gminą ludu, który był raczej ojcem z ducha niż panem z materji; w miarę wielkości swych obowiązków usposabiał się całym życiem do ich spełnienia, czuwał nad bytem powierzonych mu gromadki, puszczał z niej w świat i inne życie tych, co się do niego zrodzili, zostawiał przy roli takich, co tę pracę kochali i do innej niemieli serca lub zdolności; żywił, karmił, bronił, a na chwilę z oka niepuszczał.

Niech sobie nowi mistrze nauki społecznej, ci co z gruntu chcą świat przerobić według formy przez siebie wymarzonej, szukają lepszego wzoru społeczności nad ową słowiańską, ja go nigdzie nie widzę — i do póki trwa w niej duch ożywiający, duch podań, duch wiary, co chrztem nowym starą słowiańszczyznę obmyła, przyjmując się na tę bujną rolę z siłą cudowną — o! nigdzie może nie było lepiej.

Ślachcie tém się tylko odznaczał od resz-

ty, że większe i cięższe miał obowiązki—nie żył on w zbytku, przestawał na małym, bronił kraju krwią, odpowiadał zań głową, radził i rządził, ale za wszystkich cierpieć i poświęcać się musiał. W miarę tego poświęcenia społeczność wydzielala mu cześć, mienie i znaczenie. Lud stojący pozornie na najniższym szczeblu hierarchji towarzyskiej, był w istocie najszcześniejszy. Pracował on dla wszystkich na chleb powszedni, ale go bronili wszyscy, i otaczali uzbrojoną piersią zaszczycając od wszelkiej napaści. Zresztą dziwuj się jeśli chcesz Juljuszu, ja ci dziś jeszcze powtórzę, że szczęśliwszego niema nad stan wieśniaczy na naszej pięknej bujnej ziemi...

—To prawda, kochany nauczycielu — odparł z uśmiechem młody człowiek, dotychczas wcale przeciwnie mówiono i pisano...

—Być bardzo może, i nie dziw. W reszcie w Europie inaczej było niż w słowianszczyźnie, a żeśmy wielkie małpy, z pozwoleniem pańskim, gdy tam poczęto uważać się na ucisk włościan, musieliśmy i my to echem powtórzyć u siebie. Tymczasem u nas nigdy

chcesz, możesz się uczyć, wyrobiłem ci przyjęcie do szkół, daję uwolnienie i grosz na początek; idź w świat, a pamiętaj użyć dobrze nauki, której pożądasz. Dziś mnie może nie zrozumiesz, ale wraz to sobie dobrze w pamięć, że niema szkodliwszego stworzenia nad nie-douczonego, — wielkie w nim tylko podbudzone żądze, a niema środków, by je zaspokoić. Chcesz się uczyć, ucz się do ostatka, i nie rzucaj już drogi, którą pójdziesz. Daj ci Boże, byś sobie wypracował szczęście!

Ledwie sobie dziś te słowa przypomnieć mogę, tak wówczas byłem wzruszony i szczęśliwy — odezwała się we mnie żyłka do świata innego, otrzymywałem o czém ledwie śmiałem marzyć, byłem jak upojony, jak szalony, upadłem do nóg staremu, a on z jakimś rzeźnym smutkiem mnie pobłogosławił.

—Nie zapominaj o Bogu, — rzekł na ostatku, — módl się i idź w imie Boże!

Nazajutrz po czułych, wiejskich pożegnaniach z rodziną, podwódka brata odwiozła mnie do Lwowa, gdzie już wszystko zastałem ułatwione do przyjęcia mnie i umieszczenia. Z zapalem rzuciłem się pracować i ja-

koś mi to poszło łatwo i dobrze. Przeszedłem szkoły i wkrótce mogąc sam się utrzymać daniem lekcyj, dobrowolnie podziękowałem za pański zasiłek. Byłem trochę dumny, że sam sobie mogłem zapracować na chleba kawałek. Skończywszy szkoły, zapragnąłem wyższych nauk, bo mi się jeszcze paliła głowa; do tych łatwy teraz miałem przystęp. O pochodzeniu mojem nikt nie wiedział, wszyscy mnie mieli za ubogiego ślachetkę i na równi z innemi iść mogłem.

Zdało mi się, że się jeszcze do czegoś większego dobiję pracą, ale gdym chwycił co było można, czytał się do niestrawności i głowę sobie nabił książkami, pokazało się, że z tego wszystkiego nic nowego stworzyć nie potrafię. Męczyłem się długo, by wyjść z tłumu, dać się poznać, błysnąć, przemówić, a głos mój ginał w niezmierniej wrzawie donośniejszych i wymowniejszych. Nie rychło jednak straciłem nadzieję i odrzekłem się wielkiej przyszłości którą sobie wymarzyłem — próbowałem, rzucałem się jeszcze długo i nadaremnie. Ludzie do zbytku sumienni a nie obdarzeni talentem zręcznego samochwalstwa,

gdy wy się pysznicie swojemi, którzy kraj zasłaniali? Ręczę żebym się nie pomieniał na żaden stan inny, na żadne pozornie lepsze położenie.

Tak dziś, ale w młodości, choć napojonemu wcześniej przekonaniem, że niema na świecie bytu nad wieśniaczy, zaświtała w głowie chęć czegoś innego, pragnęło się świat zobaczyć, uczyć się, spróbować innego życia. Miałem jeszcze naówczas ojca, który postrzegłszy tę żyłkę we mnie, a był to człowiek wielkiego na stan swój rozumu, karmił za nią nieustannie — może to właśnie przyłożyło się do rozwinięcia jej we mnie.

Po śmierci ojca pozostało nas trzech braci i siostra; w chacie ludno było aż do zbytku, nie wytrzymałem i uciekłem z wioski. Ani mi się wówczas zatęskniło za swemi, za tą ziemią, do której teraz tak wielkie czuję przywiązanie, ani się ku niej odwrócił, ani po niej zapłakał — leciałem do miasta i szczególnie mi się udało dostać do niego bez żadnej przygody.

Tu dopiero postrzegłem, jaka była różnica między wioską i wieśniakiem, a miastem

i jego mieszkańcami; wszedłem jak w las w ten tłum ludzi, gdzie każdy o sobie tylko myślał i o sobie się lękał. Nikt mnie nie spytał czy czego nie potrzebuję, nikt ręki nie podał; pierwsze dni z kilką groszami w kieszeni włóczyłem się nie mogąc nasycić oczów, nie śpiąc, nie jedząc, a patrząc i słuchając. Ale się przebrało siły i zapasu, trzeba było coś począć z sobą, postarać się o dach, przytułek, pracę i chleb.

Począłem zbliżać się do ludzi, a jedni zbywali mnie śmiechem, drudzy zdziwieniem niedowierzliwem, inni obojętnością zupełną. Niezrażony niepowodzeniem, śmiały jak wieśniak, parłem się wszędzie, szukałem szkoły, bo chciałem się uczyć i znalazłem ją. Tu naturalnie, sromotnie wygnany zostałem i poznałem, że co innego chłop na wsi, co innego chłop w mieście. Mieszczanin stokroć dumniejszy jest od ślacheца. Wszyscy jak oparzeni uciekali odemnie, a gdy powiedziałem że się chcę uczyć, odskoczyli ze śmiechem. Nareszcie włócząc się tak daremnie po Lwowie, dostałem się do urzędu miejskiego, któ-

ry mnie odesłał na wieś pod strażą, jak zbiega.

Ojciec jeszcze nieboszczyka pana Joachima rządził naówczas w Starém — był to człowiek zacny, łagodny, prawdziwy ojciec dla poddanych. Gdy mnie z tej włóczęgi przyprowadzono i stawiono przed nim, popatrzył, zmarszczył się bardzo pamiętam i rzekł z głębokim wzruszeniem:

—Dobrze ci tak chłopcze! dobrze! A po co było uciekać? Zachciało ci się w świat, czemużes nie przyszedł do mnie, ze mną się o tém nie poradził i mnie nie poprosił? Wiesz coś zarobił.

Odpowiedziałem mu z płaczem, że się chciałem uczyć.

—Trzebaż ci było mieć ufność we mnie, — rzekł łagodniej, — byłbym na to dał jakąś radę; któż widział uciekać jak z niewoli, alboż to już wam tak źle u mnie, żebyście bez mojej wiedzy opuszczali swego pana?

Ja i bracia przeprosiliśmy go jakoś, i nie przyszło to nam trudno, bo serce jego widząc com wycierpiał, od razu mi darowało winę nieufności. Stary pan zamyślił się i odesłał

mnie nazad do chaty, zapowiadając, że przyśle później i ułatwi mi tę naukę której tak pragnę. Tymczasem bracia starali mi się wybić z głowy dziwne zachcenie, w Starém raz pierwszy się zdarzające, bo tu przywiązanie do naszego stanu więcej niż gdzieindziej wyrobił dobry byt i tradycja przeszłości.

—Jakięj przeszłości?— zapytał ciekawie Julusz.

—Może się kiedy i o tём dowiesz,— odpowiedział Soroka,— dość że i my mamy swą przeszłość i dzieje które pomnim, z których jesteśmy dumni. Przywiązanie też do swojej ziemi, do swęj siedziby, do tego kąta pradziadów, wyrobiło się w nas potężniejsze niż gdzieindziej. Uczułem i ja zamiłowanie w tём życiu, ciszy, pracy, śpiewów, podań i wpatrywania się w twarz pięknej ziemi matki, w dzieło Boże,— ale pomimo to, została mi w głębi tęsknota za urojeniem. W życiu tak zawsze: nie postrzeże się człowiek, jak w duszę padnie mu drobne żądzy nasionko, jak wyrośnie i obejmie mu piersi i skuje go sobie na hołdownika. I we mnie tak pragnienie czegoś

nowego— nauki, świata, zagnieździło się niepojętym sposobem na wieczny niepokój.

—Żałujesz więc kochany nauczycielu, żeś się oświecił, udoskonalił i podniósł?

—Długoby to było o tём mówić,— rzekł stary zamilknąwszy chwilę,— ale doprawdy i wieśniak nie jest bez wiedzy pewnej, bez pojęcia świata, bez rozgarnienia, tylko źródło wiedzy jego jest wcale różne od waszego.

Ja coś dziś umiem, bywałem po świecie, widziałem ludzi, znam ich uczoność, wróciłem teraz na wieś i usiadłem wśród swoich. Patrę i widzę, że nie są oni tak ciemni jak wy sobie wyobrażacie. Niema tu nauki co wszystko rozbięra, układa do jakiegoś wymyślonego porządku, numeruje i dziwnie przeżywa, a ostatecznie rozpatrzywszy się w tём co zrobiła, wyrokuje że istoty rzeczy nie zna; niema nauki która *wie* o wszystkiém, a *nie rozumie* niczego; ale natomiast z podań odwiecznych doszła nas wiedza tajemnic niedostępnych uczonym i pojęcie świata takie, jakim Bóg spromienił czoła pierwszych ojców rodzaju ludzkiego.

Starzec widocznie zdawał się jakby na-

technionym; Juljusz słuchał go z zajęciem, tak pilnie, że ruszyć się nie śmiał by słowa nie stracił — Hryć mówił mu dalej.

— Porównajcie tylko lud miejski, otoczony brukiem, kamieniami i błotem, żyjący wśród kałuż, z ludem wioski, co pracuje pod gołym niebem, patrzy nieustannie na twarz ziemi i odgaduje dzieło Boże, — przekonacie się, że on więcej umie i lepiej daleko zna świat od rzemieślnika i mieszczanina. Mądrość kmiecia płynie wprost z ziemi matki, ssie on ją z jej piersi wiecznie pełnej, wyciąga z podań nieprzerwanych i ciągłego wpatrywania się w to, co go otacza. Wieśniak niczem się nie zdziwi, bo przywykł do nieustannych cudów, bo żyje otoczony niemi, każde zjawisko wiąże z czemś słyszanem u kolebki, a choć nie wytłumaczy równie dobrze jak uczony, zrozumie je przecie po swojemu, patrząc nań nie suchem okiem badacza, ale sercem dziecka Bożego.

Niemal wszelkiej nauki nasionko pierwotne wyrosło z doświadczeń wieśniaczych, skarbnica postrzeżeń tu się zbierała; pastérze i rolnicy policzyli pierwsi gwiazdy na niebie,

szukali w ziołach lekarstwa, poznali zwierzę i rozkopali ziemię, dziś jeszcze nieraz poradzi się ich uczony i zdumieje niespodzianym tajemnicom, których z uśmiechem prostoty słowo, wieśniak mu odkrywa.

Nieraz dziwujecie się mimo dumy waszej rozsądkowi prostych ludzi — cała różnica tego nieoświeconego ludu, że on czerpie z ust do ust podawaną mądrość pierwotną, którą lada zetknięcie ze światem waszym głuży i gasi, a wy ją czerpicie z tego co zowiecie nauką, z dzieła własnego rozumem sklejonego, powoli, klejąc i rozklejając je co godzina. Mógłbym choć z pewną przesadą nazwać naszą naukę objawioną, a waszą zdobytą; obie opierają się na jednej posadzie, ale z niej często zbacza druga, zbyt ufna w siły swoje. Wiele jest rzeczy u was poczytywanych za bajki, które są tajemnicą naszą.

Tu jakby opamiętawszy się wstrzymał się nieco stary, i tak po chwili mówił dalej.

— Nie żal mi, że się uczył, ale gdy dziś porównywał naukę waszą z wiejską, ostatecznie nie wiele widzę wypadków więcej nad te, które nam dały tradycje wiekowe. Jeżeli

co, to uczucie religijne rozwinięte, podniesione we mnie jest wielką zdobyczą wyprawy — reszta na niewiele się przydała. Musiałem wróciwszy na wieś, stając się nawo wieśniakiem, zapomnieć dużo, by się więcej jeszcze nauczyć.

—Ale jakżeście powrócili? — spytał Juliusz.

—O! daleko jeszcze do tego, muszę wam naprzód powiedzieć, jak wyszedłem, — odparł Hryć, — zawczasu uzbrojcie się w cierpliwość. W naszej wiosce więcej niż gdzieindziej poddań, bo mniej się stykamy z tem, coby je zaćmić i zagłuszyć mogło, sięgają one niepamiętnych czasów, których nie zna historia; są nawet rodziny wybrane, gdzie z pokoleń w pokolenia przelewają się dzieje dawne i niejako kapłaństwo przeszłości. Pobyt tu czas jakiś po pierwszej mojej wycieczce, jużem był prawie zasmakował i zgodził się z przeznaczeniem, gdy jednego razu zawołano mnie do dworu. Znalazłem pana Stareńskiego, chodzącego z papierem w rękę po wielkiej sali, zobaczył mnie i zbliżył się z uśmiechem.

—No, chłopcze, — rzekł, — teraz, kiedy

nie było takiej nędzy, takiego upodlenia jak gdzieindziej. Nie trzeba po dowody iść daleko — u nas i teraz jeszcze włościanin idzie do pana codziennie swobodny w każdej ważniejszej okoliczności, z weselem, ze smutkiem, ze świętem, przyjmują go jak brata, witają dłonią i sercem, dzielają strapienia i zabawę... Po wioskach naszych nieznane były nigdy wielkie klęski głodu, niedostatku, dopóki pan mógł im zaradzać; szpiczlerz zawsze stał otworem, worek otworem dla wieśniaka; wreszcie nędza jego, o której tyle piszą obcy podróżnicy utyskując nad lichą odzieżą, nad zapadłym mieszkaniem wieśniaka, cała po większej części jest powierzchowna.

W grubiej chodzący świecie kmięć nasz, nie pomieniałby się na cienkie suknie i cienki chleb angielskiego lub francuzkiego proletariusza; łachman tenby go nie ogrzał, a strawa nie nakarmiła. Potrzeba znać kraj i warunki życia w nim, żeby się przekonać, iż w istocie wszystko aż do chaty chłopca, która jakkolwiek licha, miłą mu jest bo pradiadowska, wszystko zastosowane do potrzeby lub wynikłe z konieczności. Że u nas naprzykład co do odzieży

wieśniak daleko wygodniej, przyzwoiciej, lepiej jest odziany, niż francuzki i angielski proletarjat, tego dowodzić nawet nie potrzeba. Tamci wyrobnicy i wieśniacy kupują swoje suknie po miastach, wdziewają tandetne niedonoszone łachmany miasta, stare i śmieszne, my z własnego sukna, odwieczną, poważną, ciepłą i dostatnią pradiadowską mamę switę. Zdaje mi się też, że poddasza nędzne Londynu i Paryża, nędzne klétki irlandzkie, nie są wygodniejsze i zdrowsze od chat naszych. A jednak każdy przejeżdżający cudziemiem ma sobie za obowiązek na widok czarnej chałupy wieśniaka, jego prostej siermięgi i razowego chleba, krzyczeć na północne barbarzyństwo!!

My zaś, jak skoro powie co wyrocznia nasza na Zachodzie, pokornie spuszcza my głowę.

Niech cię to nie dziwi, że sam wieśniak, nie idę śladem innych i nie wyrzekam na byt nasz; widzisz pan we mnie człowieka tak przywiązanego do swojego stanu, tak go ceniącego, jak kto inny ślacheństwo. Czemuż nie mam być dumny z moich dziadów co karmili,

nigdy nie potrafią wybić się po nad tłum; a ogół choć zna siebie, to że mu prawie wszystko wmówić można, daje się najłatwiej omamieć gadułom i najmniej sumiennym krzykaczom. Nie miałem kto by mnie zalecił, sam się zalecać nie potrafiłem i wkrótce trzeba się było rozbratać z nadziejami. Pożegnałem je bez rozpacz i wykreśliłem sobie życie nowe, stając się nauczycielem. Takim znałeś mnie Juljuszu, bom cię miał kłopot i szczęście liczyć do uczniów moich, — dodał stary z uśmiechem łagodnym, — aleś ani się mógł domyślać nigdy com w tém życiu wycierpiał i przebolewał.

—Z uczniami?

—Nie koniecznie, najwięcej z samym sobą. W młodości tak byłem zajęty, roztargniony, rozmarzony, że mi na pamięć wszystkiego co człowiekowi najdroższe nie pozostało czasu — zapomniałem mojego kąta, rodziny, przeszłości, braci i pierwszego życia. Ochłonawszy później obejrzałem się do koła i dopiero postrzegłem jak smutnie byłem sam jeden. Nie chciałem oszukiwać wiążąc czyj-

kolwiek los z moim, a wiedziałem, że za mnie niktby córki ni siostry nie wydał.

Dziwnie też smutny schorzały wybladły wydał mi się już wówczas wasz świat, gdym go porównywać zaczął do wspomnień moich, do wioski. Żywe, głębokie, niepołamane uczucie tęsknoty za moją chatą, za braćmi, za życiem co niegdyś mojem było, odezwało się w sercu nagle. Z tém uczuciem dręczącym mnie, opanowującym, zastaniającym wszystko, co otaczało, walczyłem, chodziłem i żyłem nieszczęśliwy lat kilkanaście. Wątpię by kto zrozumieć mógł i chciał uwierzyć com doznał!

Z dnia na dzień urok ten jakim mi błyskało wprzód miasto i jego wychowawcy, opadał i znikał, co chwila srożej czułem dojmującą tęsknotę, żal nie opisany i pragnienie powrotu do dawnej pracy, do dawnego stanu.

Nie ustraszalo mnie ani jego ubóstwo, ani poddaństwo, ani trud rolniczy. Często kupowałem ukradkiem czarny chleba kawałek, zamykałem się z nim i spożywałem ze łzami, w myślach o tych, którzy na rodzinnym zagonie chlebem się tym karmili. W przechadz-

kach wieczornych za miasto z zazdrością nieopisaną spoglądałem na wieśniaków wesoło powracających z targu, i zatrzymywałem ich, żeby się ich prostą rozmową orzeźwić, ich prostemi myślami wyrostemi na zagonie nasycić. Mury miasta otaczające mnie, dusiły jak więzienie, powietrze ulic zabijało, wzdychałem za wsią, za lasem, za śpiewem chłopa, za głosem dzwonka mojego kościołka, za chatą bielejącą na pagórku i uliczką którą przebiegałem dziecięciem. Zamykałem się płakać i snić o Starém, a choć walczyłem z sobą, by pokonać tę tęsknotę gwałtowną jak namiętność, cała siła moja nie przeciwko niej nie mogła. Uczucie to stało się chorobą, gorączką, szaleństwem. Stawałem czasem wśród rozmowy, wśród wykładu nauki osłupiały, nieprzytomny, puszczając się myślą ku wsi naszej i tonąc w dziecinnych wspomnieniach, łza wytryskała mi z oczów, serce biło gwałtownie, i ludzie mogli mnie wziąć za szaleńca. Najmniejsza drobnostka budziła we mnie odpędzane napróżno mary, powstawały z wyrzutem przeciwko mnie i zgryzotą ugniatały niepokonaną.

Widzieliście mnie smutnym nieraz, choć nie na pozór nie brakło mi w życiu, bo praca szła łatwo, chleb był dostatni, szacunek zyskałem u ludzi i ufność i przyjaźń nawet, ale ten żal za strzechą rodzinną, wszystko mi goryczą tajemną zatruewał.

Nie było sposobu wyżyć w męczarniach codzien wzrastających, w tej gorączce, która groziła obłąkaniem; — czułem, że człowieka wiąże coś niepojętego z ziemią, z rodziną, z ludźmi z pośrodku których wyszedł. Pojmowałem chorobę szwajcarów płaczących na dźwięk pieśni pastuszej, i postanowiłem powrócić na wieś do swoich, do dawnego życia; nie patrzeć na nich z założonemi rękami, ale z niemi i jak oni pracować.

Myśl ta powzięta już stanowczo, nie była jeszcze rozwinięta zupełnie, lenistwo i gnuśność stały mi jeszcze niekiedy strachy, grożąc pracą i niedostatkiem; jeszcze się czasem zawahał — w tym dowiedziałem się o śmierci ostatniego brata, który zostawił po sobie wdowę i sierotę. — Ta wiadomość uderzająca boleśnie, w jednej chwili ugruntowała mnie w myśli już powziętej powrotu na

wieś — raz to sobie postanowiwszy szczęśliwy byłem zupełnie, jak student wracający do domu cieszyłem się dziecinnie. W przeciągu kilku dni sprzedałem com miał, zawiązałem odrobinę pamiątek i prawie bez żalu, bez łzy pożegnałem miasto, do którego nie mogłem się przywiązać.

Ale jakże ci opiszę powrót na wieś, przybycie do domu:

Tuby potrzeba poety, a ja nim nigdy nie byłem, kiedym wyjechał w pola, odetchnął piersią całą, wciągnął to zdrowe powietrze ziemiaszej, którym wykarmiony byłem, kiedym spójrzał po uroczych dolinach, gajach, górach zielonych i wodach błyszczących, usłyszał głos wsi i woń wioski poczuł dokoła, tak mi serce uderzyło, że się głowa zawracała! Witałem każde zdźbło trawy, każdą przelatującą muchę, każdą ziemi bryłkę, każde drzewo nad drogą i rozkwitłe znajomymi barwami kwiaty. Nieustannie zeskakiwałem z wozu by szaleć odmłodzony, nasycić się, poić, a ludzie co tam na mnie patrzyli, musieli pewnie wziąć mnie za opętanego lub opoja.

Za zbliżeniem się do Starego, kiedym jak przez mgłę dotąd widziane we wspomnieniach tylko, ujrzał na jawie i rozpoznawać zaczął miejsca, do reszty rozum straciłem. Biegłem pędem by prędzej zobaczyć chatę naszą i stare zgliszcze u którego stoi na straży i grusze sadu i żoraw studni z której pocziwa matka nasza wodę dla swych dzieci czerpała. Poszedłem płacząc pomodlić się na smętarni kościółka, a wszystkich kogo spotykałem obejmowałem jak braci; potem nieprzytomny prawie upadłem całując próg, który deptali pocziwi ojcowie moi, łzy ścisnęły mi piersi, mrużyły mi wzrok, płątały myśli. Znalazłem chatę naszą tak jak pustą; została w niej tylko wdowa i dziecina. Wszystko co tu wymarło bezemnie, co bezemnie żyło, wymawiać mi się zdawało ucieczkę; postanowiłem resztę życia poświęcić pracy działów na naszym zagonie, i spłacić dług ziemi ręką moją nietkniętą od młodości.

— Jakto? myślałbyś pozostać tu na zawsze — z podziwieniem spytał Juljusz.

— Chcę i muszę, i zostanę, — szybko odpowiedział stary.

— I nie tęsknisz za miastem, za ludźmi?

— To pytanie ci przebaczam, bo nie znasz ani mnie, ani tych co teraz otaczają Sorokę — lud to najpocziwszy, najserdeczniejszy, i najmędrzy nawet dodam, choćbyś się z mego zapалу miał rozśmiać.

— Ale ta zależność? poddaństwo?

— Są to słowa czeche kochany Juljuszu, z takimi jak nasi panowie, poddaństwo kończy się na miłości i opiece; zresztą czyż wszyscy w jakibądź sposób nie jesteśmy zależni?

Powróciwszy na wieś, — mówił Hryć dalej po krótkim namyśle, straciłem prędko co mnie tu odróżniać mogło od moich, przypomniałem sobie czém byłem w dzieciństwie, a to przywdzianie z nową suknią nowego życia, dało mi niejako powtórna młodość. Stałem się tu dobrowolnie dziecięciem i począłem uczyć wieśniactwa, jakém się go dawniej oduczał. A! niewiesz, niewiesz i nigdy zapewne wiedzieć nie będziesz co tu znalazłem za skarby, ile nowych dla mnie uczuć, ile myśli, ile pojęć i obrazów olśniły uszczęśliwionego przybylca! Żadna xięga nie przemawia jak żywe słowo podania, w żadnym

stanie nie zachowały się one tak żywe, tak całe jak u nas. W Starém] może więcej niż gdzieindziej cześć przeszłości jest rodzajem religij dla jego mieszkańców, a przez nią przeszłość staje się prawie teraźniejszością, tak ją uobecnia przywiązanie. Tu jestem u źródła dziejów i czerpię je nie z suchych kart gdzie mi kłótnie o lata nieustannie obraz rozryniają, ale z mogił, z ziemi, ze starych pamiątek dziadowskich, z drgającej powieści, którą kmicie wieki powtarza, z pieśni którą nawykł śpiewać, z języka którym mówi...

Żyję z ojcami, widzę ich, słucham i idę na smęta! by częściej jeszcze być z nimi.

Juljusz słuchał ze wzrastającym podziwieniem tej niezwykłej starca powieści, tak nią rozmarzony, tak widocznie ujęty, że i Hryć czując w nim sympatycznego słuchacza, coraz się głębiej od serca wynurzał.

Nareście umilkł i zasępiony wlepił oczy w ziemię, przysłuchując się burzy która wrzała ciągle, i zwiększać się jeszcze zdawała co chwila. Uciekło, to znów z szalonym pędem wzrastał wicher, trząsał drzewa, bił o góry,

szamotał się z powietrzem, które przed nim uciekało.

— Będiesz się śmiać ze starego, — odezwał się znowu po chwili, ale dość już tej spowiedzi, dość podziwu dla ciebie, wiesz już przecie wszystko co się mnie tycze, a teraz z kolei uczniu mój, powiedz coś robił na świecie?

— Ja? na co pytać? wszak ty wiesz wszystko, — ponuro i z ciężkiem westchnieniem odparł młody człowiek.

— Wiem, ale jak wiedzą ludzie, jak noszą wieści! Wieść tak bywa zawodna, z kolei ludzkiego życia tak łatwo każdemu tworzyć wedle upodobania! Biedneś ty dziecko dajże mi się choć uzalić nad sobą.

— Dziękuję ci z serca za współczucie, o! i o te nawet mi trudno! — smutnie rzekł Juljusz.

— Ale od czasu jakeśmy się rozstali, powiedz coś przecierpiał i przemarzył!

— Chcesz koniecznie, — odezwał się przymuszając prawie młody człowiek — uczynię zadość woli twojej, ale to dzieje pospolite młodego serca; choć na nich więcej ucierpia-

łem niż kto inny. Wiész jakim wyszedłem na świat, wyobrażając sobie że wszelkie uczucie jest głębokie i trwałe, że samo jego zjawienie się już mu nieśmiertelność rokować powinno. Marzyłem miłość wielką, gorącą, coby życie mi zabrała, i rozbiłem się o nią.

— Miłość, — cicho szepnął starzec — jest to ów wielki diament, którego tysiące niewolników szuka na skwarze słonecznym, a ledwie jeden go znajdzie... dla owych tysiąca dość być powinno drobnych pyłków co pod nogami ich świecą w piasku.

— Tak! masz słuszność, ja błędę, że koniecznie chciałem być tym jednym, a ten diament nie dla mnie! Znałeś położenie moje towarzyskie, było ono jednem z najszcześliwszych, stanowisko moje społeczne dawało mi wstęp wszędzie, majątek stawiał na równi z bogatszymi, wychowanie odebrałem takie jak wszyscy. Wszedłem więc w świat śmiało nadzieję niosąc na ramionach, z oczyma w niebie, ledwie stopą dotykając się ziemi. Na pierwszym wstępie trafiłem na bóstwo!

— O mój Boże! jeszcze po tylu doświad-

zeniach gorzkich, nazywasz ją bóstwem — przerwał starzec.

— Ty może nie wiész o kim mówię. O! cudne to było zjawisko. Kiedym ją pierwszy raz zobaczył, krew się we mnie ścięła, struchlałem ze strachu, w jej oczach był wyrok całego życia. Dziś jeszcze to powtarzam, choć inną kocham już. Ta pierwsza miłość uwiodła mnie w drugą i na pół zabiła. Było to młode dziewczę, ledwie wyszłe z pod skrzydeł matki, córka wysoko położonego urzędnika, który po śmierci żony, sam się nią zająć nie mogąc, powierzył ją ciotce, a siostrze jej matki. Ona i ciotka były niemal rówieśnicami, wiekiem, wdziękiem i młodzieńczemi uczuciami. Anna było jej imię, ale jakże ci opiszę ten ideał! a! nie! to niepodobna. Powiedz? widziałeś kiedy Venus medycejską? miałabyś wyobrażenie o niej z opisu. Wiek cały mówiłbym o niej i wszystko marnieby poszło... wystawiłbyś sobie coś anielskiego, niepochwyczonego, ale tego życia co biło z jej oczów, tej myśli co tryskała z czoła, uczucia co wieńczyło wargi... nie! nigdy wyobrazić sobie nie potrafisz.

Swiezo rozkwitły kwiat, na który spadły rosy niebieskie, na którym niema jeszcze pyłku ziemi, spalenizny słońca, dotknięcia robaczka, muśnienia wiatru, nie da ci pojęcia o jej anielskiej świeżości. W myśli nawet nie ośmieliłem się dotknąć jej nigdy, czciłem ją jak świętą. Kształty jej były tak piękne, że ludzie gdy przechodziła, stawali dziwować się jak na cudo, wejrzeniem mięczyła najobojetniejszych, upokarzała najdumniejszych... Królowa. Blond jej włosy, twarz biała, oczy niebieskie, profil greckiej czystości, składały całość zerwaną ze złotego greckiego medalu i tchnieniem czarodzieja pchniętą w życie. Przy niej gasło wszystko, mroczyło się, brzydko, gdzie ona była, nie widać nie było nad nią.

Taką była moja Anna! A przy tej powłóce co za dusza! co za serce, ile uczuć i rozumu, ile świeżości w umyśle, który ze strony dla nas nieznaną w świat się wpatrywał!

— Juluszu, na Boga, czy ci z oczów płyną, powstrzymaj się, — rzekł stary — ty ją kochasz jeszcze!

— Nie! nie! jam jej może nie kochał nigdy, ja ją czciłem tylko, a dziś! to tylko stare wspomnienie, to uczucie artysty, co się cuduje dziełem Bożem. Zobaczyłem Annę i głowa mi się zawróciła, powiedziałem sobie ja ją kocham! ona będzie moją. Ale niegodzi się kochać Aniołów, bo Aniołowie nie dla ziemi są stworzeni! ta miłość moja była świętokradztwem... W pierwszym szale, rzuciłem wszystkich i wszystko dla niej i uwiązałem w tym domu.

Ciotka, żona urzędnika także, była równie piękną jak Anna, ale inaczej! inaczej! W jej piękności było już coś ziemskiego, coś tak uroczego, jak ziemia, kiedy się odmłodzi i kwitnie. Emma o lat kilka starszą być musiała od Anny, ale tak życia w niej wiele wlał Bóg, że nie znać było, co z niego zużyła...

Emmę widziałeś pewnie, była do Anny podobną, ten sam wzrost, postać, też barwa oka i włosów, ten sam uśmiech i wejrzenie; ale światy je dzieliły. Tamto był ideał niepochwycony, to tylko jego odbicie ziemskie i cielesne. W początku niewidziałem Emmy na-

wet, anim postrzegł tego podobieństwa, ani wdzięku, modliłem się do Anny tylko.

Anna czy nie postrzegła w początku moją miłości, czy ją umyślnie wystawiła na próbę wytrwania, obchodziła się ze mną zimno, niczém, a niczém niedała mi poznać, że mnie z tłumu wyróżnia. I wyrok ten znośm z pokorą! byłem gotowy na wszystko, na wzgardę, pośmiewisko, odepchnienie, zapomnienie, a nie mogłem jej nie kochać, jak nie mogłem nie oddychać.

Byłem cierpliwy jak konieczność, cichy, milczący, ale wzrok mój mówił tak głośno, że wszyscy słyszeli żem kochał. I śmiano się ze mnie!

A co mnie tam wówczas śmiech obchodził! Mogę powiedzieć że mi odjęła życie, uczucie jego, przytomność, nawet swobodę rozmysłu. Jutra nie miałem, nie było wczoraj, była jedna ogromna, jasna, wielka terazniejszość.

—Był to niestety! rodzaj bałwochwalstwa i szalu! — westchnął starzec. Juljusz mówił dalej:

— Po długich wiekach tój pokuty u pro-

gu, poczęły mi się otwierać drzwi świątyni, Anna spójrzała na mnie: chciałem umrzeć żeby z sobą zanieść na świat inny to uczucie szczęścia. Zdawało się jakby mnie dopiero zobaczyła, jakbym się zjawił jej nagle... przemówiła... pozwoliła się zbliżyć i poczęły się złote dni snów, złote dni jedyne w życiu, bo czyste, rajske, niepokalane... godne nieba.

Ale powiedz mi stary przyjacielu, może być szczęście dla tego, kto je raz sam, swoją własną zburzył ręką? Dziś, darmobym go szukał; słuchaj dalej!

Emma niewiem czy widziała miłość naszą, czy serce jej zabiło na ten widok, czy pozazdrościła Annie, czy znudzona życiem chciała sobie zrobić igraszkę z dwójga sere młodych... Emma, której mąż o dwadzieścia lat starszy wiódł życie najobojętniej od domu oderwane, całe w klubach i miłostkach ponętnych, sama, opuszczona, stanęła między nami dwojgiem. Umyślnie może usunęła Annę na czas, żeby zająć jej miejsce, wciągnęła mnie w tę niešťęsną miłość, w początku słuchając moich zwierzeń, dając rady, okazując współczucie. Ona była na wsi, ja w rozpacz, Emmę wi-

dywałem codziennie, żeby choć miejsce gdzie Anna żyła zobaczyć... O! dziwne jest serce ludzkie, po dwu latach bywania w jej domu, pierwszy raz zobaczyłem Emmę. Wzrok jej pierwszy mi ją raz objawił, bo był ognia pełny.

Postrzegłem że do Anny podobna, że to są siostry twarzą i sercem, myślałem. I powiedziałem jej raz cicho, o szarej godzinie wpatrując się w błyszczące jej wejrzenie że mi Annę przypomina. Emma zadrżała, i jam zadrżał.

A! straszne to dzieje! a gdy je z serca przyjdzie dobywać, to jak gdy ranę starą lekarz przewija — cierpię i cierpię...

Emma ścisnęła mnie za rękę, jakiś szal namiętny owładnął mną, nie wiem co się stało ze mną, zamiast czci i miłości, wstąpiła w serce niepohamowana namiętność. Już nie dla Anny biegłem do tego domu, jużem jej wspomnienie oddalał, i obawiał się powrotu i wstydał ją zobaczyć. O! bo w szare wieczory samotne wilem doświadczył i przeżyłem. Ona ciągle była samą, nas w domu najczęściej dwoje, i miłość nowa miała czas w cieńniu urosnąć.

Ale ta tak była różną od pierwszej! Z tą dla mnie nie było chwili spokoju, dręczyłem się nią jak występkiem, obawiałem jak szczęścia które co chwila stracić mogłem; czułem w niej zniszczenie nim przyszło, i rozbiła się o pierwszą plotkę o pierwszy swar domowy.

Zamknięto mi jej drzwi, zabroniono wstępu, alem się wówczas śmiał tylko — tysiące wynajdowałem sposobów zbliżenia się do niej, i spotkałem z nią. Ale jakże się zmieniła! jak ostygła! jak zimną dłonią popchnęła od siebie! Wszystko jak sen minęło...

Wróciła Anna, i jam chciał niegodzien jej, do niej powrócić; ale dumna dziewczica, jednem spójrzeniem powiedziała mi że mnie nie zna. W tym wzroku był ból, litość, wzgarda i wieczny rozbrat. Anim mógł żebrać przebaczenia, bom się go w obec niej nie uczułem godnym.

Odtąd żyłem męczennikiem, a kto zna serca męczarnie, młodego uczucia tortury, miłość bez nadziei, miłość ukaraną obojętnością, ten pojmie com znosił. Błądziłem jak cień chodząc, schorzały, zbłądły, lub całe dnie na jednem miejscu siedząc kamieniem, zatopiony we wspomnieniach. Widywałem ją, ale mnie

nie znała — od ostatniego spójrzenia, oczów nie zwróciła na mnie, dla niej jużem nie żył. Czemuż doprawdy nieumarłem!

Emma także unikała mnie z wyraźną przesadą, obawiając się spotkania nawet przypadkowego. O! i nie pragnęłem się z nią widzieć, boń jej nienawidział — była przy czyną wszystkiego com znosił! W jej twarzy tylko odbicie Anny, kochałem, ale duszy Anny nie miała.

To pierwsze w życiu mojem zetknięcie z kobietą, zatrulo je i zwichnęło na zawsze... Odtąd chodziłem umarły, nie widząc dla czego bym miał żyć! a nie mogąc skończyć... Całą pociechą było, że czasem widział ją z daleka, czasem w Emmie przypatrywał się jej anielskiemu obliczu... Anna gasła widocznie...

—I umarła? — przerwał starzec ponuro,

—I przebaczyła mi, — dodał Juljusz ciszej.

—Po tak gorącej miłości, po tak gorzkim zawodzie, potrafiłeś kochać jeszcze?

—A! kochałem, — odezwał się młody człowiek niemal ze wstydem — czuję że to wina moja. Emma owdowiała, było to po

śmierci Anny, a w jej rysach jam zawsze miałą pierwszą miłość przypominał, wróciłem ku niej. Przyjęła mnie zimno, na pierwsze słowo o miłości, uśmiechnęła się szydersko. — Nie chcę umierać jak Anusia, — powiedziała mi, — chcę żyć... boję się pana! — Odszedłem gniewny, chciałem jej dowieść, że nie kocham, że nie kochałem nigdy, rzuciłem się w świat i przywiązałem.

Hryć westchnął z politowaniem.

—Wiem, — rzekł, — to było ze wszystkiego najgorsze...

—Najgorsze, nie wiem, bo nad pierwszy mój zawód, którym ukarany zostałem, już nie straszniejszego być nie może. Trafiłem na kobietę, która nie miała serca, która kochać mogła trzech razem i tęsknić za czwartym. W tej kobiecie widziałem poczwarną istotę, jakie się trafiają na ziemi, a których pojąć niepodobna. Czy winna była? nie wiem; ale tak słabiej, tak nieszczęśliwie płochiej, nie widziałem. Było to wdzięczne stworzenie, uśmiechnięte, wesołe, chwilami melancholijne, tęskne, rzewne, pragnące czegoś zawsze, zawsze niezaspokojone. Ujęła mnie cudo-

downą władzą zastosowania się do każdego, do myśli jego, do tonu serca, do uczucia, do natury rzekłbyś... Był to kameleon, co tysiączne barwy przybierał, a nie miał sam żadnej. Z tęsknym była tęskną do łez, z wesołym śmiała się całą, szalała z szalonym, cierpiała z bolejącym. Więcej współczucia mieć niepodobna... a żadne jej słowo, uśmiech i łza nie była udaną; nic w niej nie było fałszem. Taką Bóg ją stworzył, biedną, wahającą się, niestałą, powiewną trzciną, którą lada wietrzyk pochylał. Chciałbym ją przekląć, i nie mogę! Więcej tam było nieszczęścia niż winy. Stworzona na ludzką i swoją męczarnię, potokami łez oblewała każde przevinienie, i jutro szalony pęd ją znowu na przepaści unosił. Ten rok, którym przy niej przepędził, był dla mnie wiekiem piekieł! Nieustannie spadałem z wyżyny na dno, z nadziei w wątpienia, uciekałem i powracałem, bo żal mnie chwycił, a ona u nóg o przebaczenie prosiła. Tyś widział ją, powiedz mi, możeż-li być szaleńsza i szalenięj przywiązująca istota!

Nie była piękną tak, żeby powiedzieć mo-

żna, co w niej było wdziękiem uroczym, nie odznaczała się niczém na pozór, ale dość było dwóch słów tej dziwnie sympatycznej istoty, by człowieka opętać. Dźwięk jej mowy i śpiew, miały coś w sobie tak potężnie pociągającego, że gdyby mi piosnkę Ofelji nad mogiłą zaśpiewała, kto wie, wstałbym z grobu może. Maleńka, żywa, zwinna i zręczna, miała oczy jakieś wschodnie, brwi czarne, usta małe i wąskie, nos krogulca, rączkę idealną, kibić polnego konika... Łzy, rumieniec, śmiech na zawołanie z niej płynęły; w godzinie żyła wieki, to się samém opowiadaniem tak wzruszała, jak gdyby cudze życie było jej własném.

Przeżyłem z nią zdrad tyle, że ich policzyc nie mogę... każde jej na bok spojrzienie było zdradą, krok, uśmiech, wezdrżnienie, a cóż myśli dopiero?

Nieraz płakaliśmy oboje, a jutro drugi kochanek śmiał się z nią z łez wczorajszych. Śmiech to był przecie szczery i łzy nie kłamał. Czasem przychodziły chwile, że wejrzała na siebie, że ją wstręt jakiś i żal porrywał, zamykała się pokutować, ale śpiew

z ulicy, śmiech z podwórza, słówko lecące powietrzem co się o jęj uszy obilo... zmieniały włosiennicę na suknię balu lub przechadzki.

Com wycierpiał, nie wypowiem, bom ją kochał, bom się porwał na niepodobieństwo i chciałem wodę zmienić w brylant, a woda kroplami drobnymi rozbiegała mi się po ręk. Nareszcie, zrozpaczony, wyrwałem się, uciekłem...

Starzec wstał z powagą i zbliżył się do młodego człowieka.

—Jeśli cierpisz,— rzekł łagodnie,— wina to twoja Juljuszu, nadto łatwo ci się przywiązać, puszczając wodze sercu, zbyt ludziom i uczuciu pochwycić się i ujarzmić dajesz. Ot, i teraz, przyznaj się bijąc w piersi, nie twojaż to wina, że ze Starego powracasz znękany, zrozpaczony, odepchnięty?

—Jakto? więc i to ci już wiadomo?

—Wszystko! wszystko! nieszczęściem trafiłeś znowu na kobietę wyjątkową, na anioła, do którego każdy kto się zbliży, kto nań spójrzy, przywiązać się musi. Trzeba było wcześniej uciekać, bo boleścią opłacisz chwilę

nadziei daremnj i nie tu nie zyskasz! Marja nie jest pospolitą kobietą; serce, rozum, poczciwą duszę, uczucie obowiązku, wszystko jęj dał Bóg, a nie z drogi którą sobie wytknęła sprowadzić jęj nie może, nawet miłość druga, gdyby drugi raz kochać mogła.

—O! wiem już o tęp,— zawołał tłumiąc westchnienie Juljusz,— wiem to, a jednak ją kocham!

—Miłość kobiety! miłość kobiety! to jedyne słowo życia waszego,— rzekł stary wieśniak z politowaniem i powagą,— ale czyż w niej zamyka się całe życie? To tylko radość żywota, to kwiat jego, to pozłota, to nie cel przecie jedyny. Wyście jak dzieci, co zjadacie miód z chléba, a chléb rzucacie, by go potem w chwili głodu podjąć z piaskiem i błotem — kochacie wreszcie, a nie umiecie się kochać. Juljuszu, wieleś się razy kochał?

Smutnie, z uśmiechem wymówki wzywającj litości, podniósł głowę na to zapytanie młody człowiek, ale nic nie odpowiedział.

—Ja, przyznam się, pojmuję miłość,— mówił dalej stary, — ale całkiem inną, ale

wieezną i jedyną, pojmuję ją taką jak Marji, sięgającą aż za mogiłę, walczącą ze światem, z sobą, z ułomnością i słabością ludzką, — wielką, potężną, a niemogącą powtórzyć się nigdy. Ale to kochanie wasze, co po chwili zrzuca się jak stara suknia i mienia na nową, to coś dla mnie niepojętego, to słabość pieszczochów, którym próżne serce dokucza, bo nie mają czémby je zapełnili, bo nikogo prócz siebie samych kochać nie umieją.

— Surowa nauka! — rzekł Juljusz smutnie.

— Ale zastróżona, — odparł Hryć szybko, — może dla ciebie być lekarstwem i tego życzę z serca. Tymczasem poniewolny mój gościu, burza warczy wciąż, noc nadchodzi, co z sobą pocniemy? Jabym i tu się przespał, ale ty?

— Pojechałbym i w burzę, bo nie jestem ani pieszczochem ani tchórzem, — odezwał się Zlewa.

— Ani myśl o tём, mysimy się zatrzymać jeszcze, póki księżyc nie zejdzie i burza cokolwiek nie minie. Zdawna to uważałem, że wschód księżyca rozpędza burze nocne, choć

powodu sobie wytłumaczyć nie umiem. Nawczas wstrzymywać cię nie będę, ale gdy nas tu przypadek spędził, przypominajmy sobie czasy dawne: powiedz mi, co się tam stało z twojemi towarzyszami, a uczniami meimi, co się stało z Tomaszem, Karolem, Stanisławem?

To zapytanie nie rozpędziło chmur z czoła Juljusza, który więcéj daleko swoim cierpieniem i dziwną kryjówką otaczającą go, był zajęty, niżeli losem dawnych znajomych i mało coś przebąknawszy o nich starcowi, który jak się zdawało, dla tego tylko pytał, by rozchmurzyć gościa, począł przechadzać się zamysłony po podziemiu, spoglądając to na jego sklepienie widocznie ślady dzieła ludzkiego noszące, to na kości rozsypane po toku wyściełającym dno pieczary.

Jakby wreszcie chciał odpędzić przykre wrażenie sprawione ostatniemi słowy starca, oglądał szukając roztargnienia podziemie stare, zdając się niém najmocniéj zajęty i po chwili przerwał milczenie pytaniem.

— Byćże to może, żebyście wy nic o tój

pieczarze nie słyszeli? wszak muszą być o niej jakieś podania?

—Podania!—powtórzył Hryć uśmiechając się smętnie,—a gdzież ich niema? a kto z was je zrozumiał. To owoc tak naturalny każdego zamieszkanego kąta ziemi, że niema skały najtwardszej, na którejby go nie posiadało życie ludzkie! Szumią niem stare dęby, płyną rzeki stare, i wiatr je opowiada w gruzach zameczysk wyludnionych, rosną na grzędach naszych ogródów, kryją się po lasów głębi. Gdzież ich niema! Wiem, że dziś, późno, szukacie ich skrzętnie, spisujecie troskliwie, ale kto wam da klucz do nich, gdy wszystkie chcecie otwierać niedowiarstwem i sceptycyzmem, symbolem lub parabolą? Nie umiecie odgadnąć ani myśli jaka w nich tkwi, ani czasu do którego się odnoszą, ani dziejów, które opowiadają. Tymczasem tłumaczenie przychodzi z kąd się go wcale nie spodziewaliście. Ktoby posadził naprzykład prace Cuiëra, że one odtworzą smoki i potwory, z których się śmiał za boki trzymając rozumny wiek XVIII? O! nie rychło, nie ry-

chło na znaczenie podań otworzą się wam oczy.

—Wamby najłatwiej przyszło może nas objaśnić, w was tkwi żywe słowo podań!

—We mnie! w nas!—z dziwnym wyrazem dumy jakiejś powtórzył starzec, stając wyprostowany i podnosząc czoło, z którego srebrzyste otrząsł włosy—ale wiecież ciekawo, że podania nasze są świętością naszą i skarbem? że tak je rzucić, na zimną dłoń mądrych ludzi, ciepłe łzami i boleścią, jest rodzajem świętokradztwa! Wy je będziecie spoczwarzać, rozbiierać, przyrównywać, sromocić wykładem i niszczyć anatomją waszą! Byłoby to ostatnią pamiątkę, najdroższy zabytek, uczynić próżniaków zabawką. Wyście i pieśni wieśniacze schwycili już z pijanych ust jego ukradkiem, prawie podstępem, mimo że ich bronił jak własności i spuścizny po dziadach, dziwicie się ich poetycznym wdziękowi, ale i tu co chwila bijecie się o nierozwikłane zagadki. Są w pieśni wyrazy, są myśli, które dla was zawsze tak będą niepojęte, jak słowa obcej mowy i innego świata. Bo też świat ten, którego zabytkiem jest

pieśń nasza, z którego wieją podania rzeźwiące, dla was szczególnie umarły, zniknął oddawna, bezpowrotnie! Nam on jeszcze tylko przytomny, dla nas tylko pojętny, myśmy niedaleko odeń odbiegli. Myśmy jak człowiek, co żył spokojnem życiem jednostajnem, którego chwile podobne były do siebie jak krople wody bliźnięce, dzisiaj tłumaczy nam jeszcze dzień wczorajszy; u was przepaść rozdziela dwie godziny...

—Dla czegoż mielibyście z tego świata waszego robić tajemnicę?— spytał Julusz.

—Dla czego? taim się jak skąpiec ze skarbem. Wszakże pieśń i podanie to, było zarówno własnością wszystkich, waszą i naszą, wyście ją uronili, myśmy zachowali, mamy prawo być dumni z tego poszanowania przeszłości i nieprzerwanego z nią związku.

—No, więc nie chcę być natrętnym,— z uśmiechem odparł młody człowiek,— ale nie mogę przynajmniej zapytać,— dodał schylając się i podnosząc niedogorzałą czaszkę, w której białe jeszcze i drobne świeciły ząbki, co znaczą te zgłiszczą, popioły, i tak rzucone kości człowieka?

To bardzo łatwo wytłumaczyć wam mogę,— odparł starzec.— Wszak wiecie może, że to okolica, którą Bóg częstemi nawiedzał klęskami, jakich nie znały inne! mór, Tatar, Kozak, z Tatarem śmierć, pożoga i najstraszniejszy jassyr, pustoszyły tę ziemię ojców moich niezliczone razy. Każda taka plaga miała inne swe dzieje, swą powieść, swój obraz, w którym się cała maluje. Jedną śpiewa pieśń, drugą szepcze legenda, inną opowiadają mogiły pod wioskami, lub kości w pieczarach. Domyślisz się łatwo co one tu znaczą. Trzy razy w płomieniach rozsypał się gruzem klasztor i kościół Podkamieński zapalony przez niewiernych, co w nim szukali złota. W Pomorzanach raz tylko mężny Świnka obronił lud chrześcijański od niewoli pohańca; wiecie zapewne o nim i o Zahorowskim. Bywało, jak się na górach ukażą dymy i ognie dalekie, a łuny odbiją na chmurach, gdy wiatry powieją spalenizną i krwią, co żywe z sioł ucieka i chroni się po lasach i pieczarach.... i stoją wioski pustkami strasznemi, i drżą mileczące strzechy, jakby przeczuwały pożogę co ich czeka.

Raz, dawno temu, o! dawno!... zbiła się tu gnana trwogą gromadka ludu ze Starego, uciekająca przed Tatarem, bo po nad lasy trzy wielkie łuny gorzały... Uszli wszyscy krom jednego chłopięcia, które obłąkało się w drodze, może za kwiatkiem, może za jasnym motylem, może przysłuchując śpiewom ptaszka nieobawiającego się strzał tatarskich... Dziecko pobiegło, potem w ślad za matką, przyszli i pohańce za nim, a nie mogąc dostać żywcem naszych, bo się zaparli tu, dymem wydusili nieszczęśliwych. Woleli zginąć niż pójść w jassyr tatarski i spłonęli w boleściach.

Hryć westchnął, a Julusz powiódł wzrokiem po okopconych ścianach, niemych dziś świadkach tylu jęków i mąk straszliwych. Zdawało mu się że dojrzał na miękkiej glinie ślady rąk i palców, które się za nią rozpaczliwie chwytały, że w ciemnościach blade mignęły twarze pogorzalców.

—Szcęściem,—kończył starzec,—garść jakaś wybranych, głębiej się schroniła, i tam przeżyli zatajeni dni kilka obok trupów, rannych i konających, którzy dla zatajenia resz-

ty jęknąć nie śmieli, by na nią śmierci nie sprowadzić. Wywlekli się potem jak upiory na światło dzienne, i z nich wieś odżyła znowu. Ale nie mówmy o tych klęskach starych — dla was są one ciekawą powieścią, dla mnie historją rodzinną, żywą dziś jeszcze. Tu się walają niepogrzebione kości męczenników dziadów moich, a każdy ich szczątek dla mnie relikwią!!

Oddalony świst potrzykroć powtórzony zdaleka, przerwał w tej chwili mowę starcowi; schwycił się nagle na nogi, nastawił ucho, począł przysłuchiwać się pilniej coraz i jakiś wyraz przestachu pokrył mu twarz zbladłą; iszybko przeraźliwem świśnięciem odpowiedział na znak dany.

Julusz niemniej zdziwiony i zlekły nawet, zbliżającym się coraz głosem, a więcej jeszcze postawą strach jakiś malującą starca, obejrzał się jakby szukając broni, i poskoczył do Hrycia. Świst powtórzył się raz jeszcze u wnijścia, a stary nań odpowiedział.

—Skryj się,—popychając go rzekł Hryć szybko,—nie powinien cię tu nikt widzieć, jesteś w kryjówce wsi naszej, której wydawać

nie należało... niepotrzebnie cię tu wprowadził... Idź żywo w głąb, prosto i śmiało, niedawaj znaku o sobie... Posłuszny starcowi Juljusz cofnął się w ciemny głąb pieczary rozdzielającej się na kilka gałęzi i wpadłszy w zakryty kąt, przytulony do słupa stanął, gdyż dalej zupełna noc i nieświadomość miejsca iść mu niedozwalały.

Zaledwie miał się czas ukryć, gdy uwnijścia ujrzał zjawiającą się postać młodego chłopaka, który otrząsłszy włos długi okrywający mu czoło, stanął przed Hryciem cały drżący, z pokłonem zbliżył się, pocałował go w rękę i żywo mówić począł.

Był to piękny typ urody wieśniaczęj, budowy muskularnej, krzepki, niewielki, z wyrazem siły w postawie, przebiegłości i rozumu w oczach. Płec jego ogorzała złocisto zdawała się lśnić jak piękny bronz stary, a rumieniec pałał na niej gorąco. Przy ciemnej skórze białka oczu i zęby świeciły blaskiem czystym i stanowiły sprzeczność barwy malarzkiej. Dodajmy włos długi ciemno-błęd, oczy niebieskie małe ale żywe i wydatne, nos kształtny i rozdęty jak u araba, usta sny-

cersko zarysowane, a będziemy mieli niedokładne wyobrażenie oblicza pięknego chłopaka, stojącego przed Hryciem.

Trudno bowiem by słowa odmalowały wyraz postaci i twarzy, — wyraz siły, odwagi, pewności siebie młodzieńczej, jaką promieniały. Spójrzawszy nań widziałeś, że ani go oszukać łatwo, ani łatwo pokonać, instynkt mu wydawał kłamstwo, przebiegłość dało położenie, siły Bóg.

Przystąpił do starca zdyszany, spotniały, widocznie niespokojny.

— Czegożeś aż tu mnie szukał? z cicha rzekł Hryc w języku ludu.

— Ej! ojcze! nie bez powodu ja ciebie gonię! Tu bez was się nie obejdzie, lichomamy.

— Co za lichomama?

— Niceście nie słyszeli o Jednookim?

— Słyszałem ci, ale co nam do niego...

— A jeszcze daleko do półnoka? — spytał chłopak jakby sam do siebie... o jeszcze czasu dosyć, dodał po chwili uspokajając się, mogę wam opowiedzieć jak to było. Już to u nas od tygodnia gadają, że Jednooki ze

ni swoją bandą w okolicy się pokazał, ale my
w temu niedawali wiary. To zbój gorszy Kar-
n meluka (*).

v — Juźciż Jednookiego wiem, ale cóż się
r stało? niespokojnie spytał starzec.

s — Posłuchajcież no, a to on u nas, ży-
s wo dodał chłopak... widać go żydzi, czy nie
i wiem kto naprowadzili, nasłanie Boże, na
naszą spokojną okolicę. Ja dziś byłem
ztąd o mil trzy na zarobku w Malowicach;
ztamtąd wracając nad wieczorem, wiecie
karczemkę złodziejską pod lasem na Za-
byłowszczyźnie, wszedłem nogi trochę wy-
ciągnąć i fajkę zapalić. A to mnie tam
Pan Bóg zaniósł. Wchodzę, tylko stara
baba i to śpi nad kądzielą, drzwi były prze-
twarte, takém wszedł, że się ani obudziła.
Dobrze ją sen zmorzył, bom i kaszlał i tupał a
nic nie pomogło. A że mi tylko ognia do fajki
było potrzeba, poszedłem do pieca, wygar-
nałem węgliczkę z popiołu i usiadłem sobie
w kącie. Było już dobrze ciemno. Anim się opa-
trzył, jakém się zdrzemał,.. oczy otwieram,

(*) Karmeluk sławny rozbójnik na Podolu.

patrzę, coś majaczeje przedemną. I słyszę
dwa głosy.

— A co? wszystko tam gotowo?

— Gotowo, ojcze, ludzie poszli w las na
Turowszczyznę i czekają jeno znaku u paro-
wu za kopcem.

— Wiele ich tam jest? spytał drugi.

— Jak się wszyscy zbiorą, będzie ze dwu-
dziestu, ale dobrze zbrojnych.

— Nam ich tyle niepotrzeba! albo to dwór
w Starém tak obsadzony?

— Ai! nie zawadzi!

— A o którą pójdziemy na dwór?

— Z północka, niech się dobrze pośpią,
mówią, że grosz jest...

— Musi być...

— A no cicho! żeby się wioska nie zbu-
dziła, w ostatku kościół i plebanję obedrze-
my, i jak świt potem lasami ztąd poprzemy
się nad Dniestr, bo pójdą obławy pewnie...

Ledwiem ja tego dosłuchał z wielkiej nie-
cierpliwości i pomiarkowawszy, że źle być
może jak mnie zobaczą, przyłgnętem pod ła-
wą. Zaczęli wołać światła i wódki, poszedł
jeden za drugim do alkierza, a ja widząc, że

drzwi niezamknięte, nim się dokrzesali ognia, wysunąłem się i jednym tchem, tutaj. Co będziemy robić? Stary zadumał się... Dobry z ciebie chłopak, rzekł do przybyłego, lećże mi na wieś i pocichuteńku ludzi pobudzić, niech się tylko zbiorą w lipach i zaczają. Ja tam zaraz będę, połapiemy złodzieiów. Ale Jaśku, sprawżę mi się zręcznie, cicho i kiedy ich tam ma być dwudziestu, nas trzeba żeby było pięćdziesięciu, bo to zboje, i im życie tanie, a my od pług — niech zabiorą siekiery, pałki, co kogo stać; a tak się zgromadzie by żywa dusza we dworze niewiedziała o niczym... Ja idę do pani zaraz i sprowadzę ją tutaj, bo i ję i dziecku strach ten niepotrzebny, a my dopiero ze zbojcami zagramy...!

A nu Jaśku żywo do wsi, ja zaraz za tobą!

Jasiek jak mysz wymknął się otworem pieczary, a gdy starzec zamysłony się odwrócił, już Julusz stał przy nim.

— Co to jest? spytał, dworowi grozi jakieś niebezpieczeństwo? zbojcy! Jednooki!

— Nie obawiaj się — odparł Hryć, damy

na to rady, dobrze, że nam Pan Bóg weczas dał o tem wiedzieć, mnie pilno do dworu, a wy do domu.

— Co? rozumiesz, że wiedząc o tem, pojedę sobie!

— A cóż myślicie!

— Bronić ję razem z wami!

— Wprawdzie niezaszkodzi ni głowa ni ręka, ale...

— Tu niema ale, chcesz czy niechcesz, idę z tobą, zawołał Julusz! Dwudziestu z bandy tego sławnego Jednookiego, to nie są małe rzeczy! Nie możesz ich lekce ważyć sobie, i ja ci się przydam.

— Ale śpieszmy, — przerwał stary... pozwałam, pójdziesz ze mną, teraz nie pora rozprawiać z upartym... waruję sobie tylko że się zastosujesz do moich rozporządzeń.

— Zrobię co zechcesz, ale mnie nie odpychaj! nalegając, dodał młody człowiek.

Wychodzili z pieczary właśnie i Hryć niepokojnie obejrzał się po niebie, którego mała tylko cząstkę przez gęste sploty gałęzi widać było, nad ich głowami. — Burza jeszcze się była całkiem nie przevaliła, gromy

słychać było zdaleka, deszcz lał ulewny, a blade błyski rozświecały niekiedy okolice fantastyczném swém światłem. Wicher wył po zakątach lasu i w szyjach głębokich parowów. Juljusz pobiegł do swego konia, ale go nieznalazł na miejscu, biedne zwierze znać wystraszone burzą, zerwało trzęźlę na której je przywiązał i zbiegło gdzieś w las, ku domowi. Nim młody człowiek powrócił ku starcowi, już ten odszedł był kilkadziesiąt kroków śpiesznie lecąc do dworu, a idąc myślał co pocnie, by nie przestraszyć Marii, a bezpiecznie ją umieścić. Chciał wprowadzić na pewne miejsce i wahał się w wyborze, między skarbcem, a pieczarą, do której w ulewę, dobry kawał iść było potrzeba.

Juljusz napędził zamyśłonego i chwycił pod rękę — coś uradził? spytał niespokojny.

— Co? jeszcze nic, — rzekł starzec — wahać się i niewiem co poczyć, we dworze nie możemy jej zostawić, a do pieczary mojej daleko i deszcz leje jak na złość. Zboje iść będą od Turowszczyzny a zatem z przeciwnej strony, moglibyśmy bezpiecznie przeprowadzić ją do Ładowego gaju!

— Ale po cóż tak daleko? spytał Juljusz.

— A dokądże?

— Nie pomyślałeś o skarbcu, rzekł młody człowiek.

— Owszem, przychodził mi na pamięć, ale to znowu zbyt blisko, dla kobiety, krzyki, strzelanie, bój, których uniknąć niemożna, bo muszę Jednookiego schwytać i jego łotrów — to rzecz niemiła... mogą się postraszyć, pochorować.

— Masz słusność..., cóż więc będzie?

— Niewiem, wprost idę do niej, a tam zobaczymy, co zechce, trzeba jej trochę woli zostawić...

Tak rozmawiając szybkim krokiem posuwali się do dworu, ścieżką, która mijając młynek, wioskę i plebanję, wiodła po nad stawem przez ogród do Starego dworu. Juljusz i starzec spieszyli zarówno i wkrótce ujrzeni się pod zarostami wałami horodyszcza, które w wielu miejscach ręka ludzka połamala. Świeciły im błyskawice jeszcze przebiegające niebo, przygrywał grom daleki to bliższy a nieustający, ulewa zmieniła się już w deszcz rzęsy, drobny a gęsty, który zda-

wał się na długo zabierać. Przez gęstwinę drzew ujrzeni światło w oknach, Hryć odwrócił się do towarzysza chcąc mu powiedzieć by przystał, ale on już sam domyślał się tego i pod oknem Marji sparty o ścianę na straży się wstrzymał.

Obszedłszy dom do koła, Hryć po cichu wszedł do sieni, przywykli byli ludzie do częstych jego i nieraz późnych odwiedzin, niezdziwiło ich, gdy zażądał być wpuszczonym do pani.

— Co robi? spytał.

— Mówi pacierz z dziećciem, odpowiedziała służąca.

— Powiedz żem przyszedł i że się chcę widzieć, bo mam pilną potrzebę.

Służąca pobiegła i w chwilę potem, Marja ukazała się z uśmiechem na progu.

— A co mój opiekunie, spytała słodko witając go skinieniem głowy — masz słysze jakąś potrzebę do mnie.

Hryć się obejrzał i wszedł do salki.

— Będziemy mieli polowanie, — rzekł usiłując w żart obrócić niebezpieczeństwo.

— Jakie! — smutnie spytała Marja, której ten wyraz śmierć męża przypominał.

— Trafem jeden z naszych ludzi, podłuchał łotrów z bandy Jednookiego co się na dwór dziś w nocy napaść zmagwali.

Marja lekko krzyknęła i rzuciła się, jakby do łóżeczka dziecięcia zbliżyć się chciała.

— Niech się pani nie lęka, pośpieszył stary — niema żadnego niebezpieczeństwa, na wsi już o tém wiedzą, ludzie się zaraz zbiorą, wiemy, że Jednooki będzie miał ze sobą dwudziestu, a nasi się zlecą wszyscy... jednakże...

— Każesz mi zostać we dworze? — spytała śmielej Marja.

— O! nie, — przerwał Hryć, — nie rozkazuję nic, owszem radbym pani oszczędzić niemiłego widoku i wrzawy; dziecko to może przerazić...

— Prawda! prawda! mój dobry przyjacielu, ale cóż każesz? — spytała nalegając Marja, dokąd nas schronisz? ja lecę po Stasia zaraz...

— Gdyby nie deszcz i nie ostatek burzy a błoto, znalazłbym pewne choć trochę da-

lekcie miejsce, gdzieby pani mogła być zupełnie bezpieczną...

— Z wami jam bezpieczna wszędzie! z uczuciem odezwała się wdowa — ja się nie lękam... chciałabym tylko oszczędzić Stasiowi strachu, który czasem na dzieciach na długo robi wrażenie.

— Możliwy zamknąć się w skarbcu, bo to miejsce obronne, ale tam wszystko słyszeć będzie; nie lękaś się pani deszczu i błota?

— Ty wiesz, — uśmiechnęła się Marja, — jam córka szlachcica, przywykłam do wszystkiego, Stasia nie pieścić... pójdziemy gdzie nas poprowadzisz...

— Ale, dodał po cichu stary mierzając ciekawym wejrzeniem swą panią i badając wrażenie jakie robi: dziwnym przypadkiem jest tu Juljusz Zlewa, który dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie, przyleciał...

Twarz Marji niezmieniła się wcale, trochę tylko pokazała radości — To dobrze, odparła żywo, będzie nas więcej, zapewne zostanie przy dworze.

— Tak jest, myślę mu powierzyć tu wyprawę, a sam zostanę z panią, chociaż, do-

dał ciszej, byłoby lepiej żebym sam mógł się tu znajdować, a jemu straż waszą powierzyć.

— Zrób więc jak lepiej, odpowiedziała Marja szybko kierując się ku pokojowi dziecka, za pięć minut będziemy gotowi, ja, Staś i Marjanna.

Hryć wybiegł tym czasem rozporządzić ludźmi i chwycić broń potrzebną, z pozostałych po nieboszczyku. Ludzie dworscy zebrani w początku, przerazili się tą nowiną, bo napady na dwory Jednookiego, które powiększał jeszcze strach co o nich wieści roznosił, sławne były okrucieństwa i wściekłością, tego rozbojnika. Wprędce jednak dowiedziawszy się że cała wieś już na nogach, że Hryć sam kieruje obroną, żwawo i ochoczo wzięli się do przygotowań. W chwili wyniesiono wszystkę broń i ładunki, rozdzielono ją pocichu, pogaszono światła i stary wybiegł do ludzi wiejskich, już się ściągających pod stare lipy, by im oznaczyć stanowisko. Zbójcy od Turowszczyzny idąc musieli wchodzić przez wał wysoki, na który wiodły powyrąbywane w nim ścieżynki; w tém miejscu po krzakach i za drzewami rozstawił kołem

swoich Hryć, a za wałem ukrył część także, by odwrotu zbójcom nie dopuścić. Nakazał wpuścić ich wszystkich, nie dać ująć nikomu. Ludzie z pałkami, siekierami, powrozami, hakami od pożaru i czém kto miał, już się tłumnie schodzić poczynali; jakkolwiek obawiali się oni bandy Jednookiego, która na szerokiej kraju przestrzeni wślawiła się mordem i grabieżami nocnymi, napadami na dwory i kościoły, zagrzewała ich ochota obronienia swój pani, i jej wdowiego mienia.

Jeszcze szeptał ze starszemi i Juluszem stary, gdy Marja w płaszczyku ze służącą, która drzemiącego Stasia niosła na rękę, ukazała się w ganku.

—Za mną! zawołał Hryć po cichu... ja tylko pójde z panią na pół drogi, dalej pan Julusz poprowadzi, ale trafiszże pan, spytał po chwili zastanowienia.

—Za to nie ręczę — odparł wahając się młody człowiek.

—O! to przyjdzie mi pójść z wami i powrócić, rzekł Hryć, czekajcie chwilę, każę sobie podać konia, żebym się prędzej uwinął.

Marja milcząco powitała Julusza, które-

mu serce biło tak, że ust otworzyć nie śmiał. Zbrojny już w dubeltówkę i parę pistoletów, Zlewa wrzał chęcią okazania czynem, że gotów był życie dać za Marją. Niekiedy błyskawica biała oświeciła rysy spokojnie męźnej niewiasty i pełną wyrazu energii twarz mężczyzny; naówczas Julusz śledził wzroku Marji i z podziwieniem widział w nim tylko bohaterską odwagę, zimne męztwo, i jakąś dumę oblaną staremi smutki.

Hryć powrócił wiodąc konia za uzdę, a nasi podróżni pod jego przewodnictwem spuścili się z wałów, weszli na ścieżkę nad stawem kołującą i posunęli się ku zdala czerniejącym lasom; w cichości postępowała Marja, przestraszona dziewczyna niosąca dziecko, a za nią Julusz, którego dziwny ten przypadek dziwnie też exaltował. Ta nocna wędrówka, ta straż którą miał spełniać, wszystkie wypadki nocy, spotkanie starca, pieczara, rozmowa, podnosiły go do tego stanu niezwyčajnego dumy, w którym człowiek czuje się silniejszy i jakby podwojony.

Coraz zbliżał się las, w który weszli nareszcie, a że Marjanna obawiała się co

chwila bardziej i ciemności i drzew i wszystkiego co ją otaczało, Juljusz bojąc się o dziecię wziął je na ręce. Milczącém wejrzeniem podziękowała mu wdowa. Parowami rozmokłemi od deszczu, w których głębi ciekły jeszcze nawalnicy potoki, przejście było trudne i miejscami niebezpieczne, ale Marja córka łowca i gospodarza, żona myśliwca, śmiała stawiała stopą i ledwie że się nie uśmiechała z obawy swęj towarzyszki, którą strach kilka razy obalił.

Hryć poprzedził ich do podziemia, rozpałił zabrane z sobą światło, a gdy weszli do pieczary, Marja zdziwiona niemogła powstrzymać okrzyku. Ta głębia ciemna, czarna, posępna, w której walały się kości ludzkie, wydała jęj się straszliwym wielkim grobem i pierwszy to raz wzrok jęj obłąkany zwrócił się ku Juljuszowi.

Stary przyjacielu, gdzież to nas zawiodł? zawołała niespokojnie.

— W najbezpieczniejszą ustron, — odparł starzec dodając jęj otuchy, nikt tu was nie znajdzie, bo nikt prócz dwóch lub trzech ludzi naszëj wioski, nie zna tęj pieczary i tra-

fić do nięj nie może. Pan Juljusz pozostanie u wnijscia, trzech ludzi zostawiam na górze, na przypadek potrzeby jakiej, a sam jak tylko się tam uwiniemy z Jednookim, przylecę.

Ot i siedzenie, dodał troskliwie zmiatając połą wyskok, nakształt przyżby dokoła zostawiony, a dla Stasia jest tu pościółka nawet, kupa liści paproci, którém na swoją potrzebę ususzył... to mu niezaszkodzi, podścielemy moją switę...

— O! z tego nic nie będzie! — wstrzymując Hrycia który już ją zdejmował, rozczulona odezwała się kobięta — weź mój płaszcz, ja ci zrzucić nie dam odzieży, kiedy masz wracać po słocie.

Kiedy się jeszcze spierali. Juljusz swoją pelerynę zarzucił na kupę liści i już na nięj spiące dziecię ułożył, Marjanna, żegnając się i modląc i płacząc, siadła u nóg Stasia.

Z twarzy wdowy znikł już piërwszy przestach mimowolny, odzyskała przytomność i spokój; usiadła na ławie niedaleko Stasia i ciekawie rozglądała się po pieczarze. Juljusz oparty na strzelbie usunął się do wnijscia.

Hryć już miał odchodzić.

— Jedną tylko, — rzekł na ostatku — mam państwu zostawić przestrożę: pieczary ciągną się bardzo daleko i rozgałęziają tak dziwnie, że tylko dobrze znającym je, bezpiecznie jest posuwać się dalej. Proszę pozostać tutaj. To mówiąc scisnął rękę Juljusza i zniknął.

Marja z głową zwieszoną poczęła dumać, a wzrok młodzieńca upojony jej widokiem skierował się i zatrzymał na cudnej twarzy, którą uroczemi blaski stroiła miłość macierzyńska, wdowi smutek i chrześcijańska duszy pogoda.

My tymczasem zwróćmy się za Hryciem ku dworowi; koń szybko go unosi przez wioskę w podworze, puścił go u bramy, a sam posunął się cicho i skrycie ku skarbcowi. Ludzie w oczekiwaniu niemém leżeli na ziemi, stali, klęczeli, pozaczajani. Nie przywykli do takich wypraw, drżeli wszyscy prawie, gdyż w oczach ich zbójcy stawili się jeszcze olbrzymami ak w bajce. Ujrzawszy Hrycia, zmęźniał z nich każdy, poczuwszy siłę, którą wódz zaufany daje. Hryć miał strzelbę gwintówkę, pistolety i stare szablisko chwycone ze ściany. Strzelcy i dworscy zbrojni byli także w fuzje

i broń znalezioną, wieśniacy mieli tylko siekiery, topory i kije.

Słychać już było rozlegające się po wsi pierwsze kogutów pianie, a nie się jeszcze nie pokazywało, oczekiwanie niecierpliwiło ludzi i odejmowało im siły, głucha cisza szumem tylko wiatru przerywana i odgłosami uszlęj już burzy, złowrogo wisiała nad ich głowami. Oczy wszystkich zwrócone były na wał, przez który drapiąc się zbójcy powinni byli pokazać... Największe milczenie nakazywane było przez Hrycia.

W tém na tle szarém nieba, po nad wałem ukazała się wysoka jakaś postać, która powolnie wzniosła się nadeń, wyprostowała i w dół spuszczać zaczęła ku podwórzowi, za nią jeden, drugi, trzeci, kupałotrów zaszarzała, mignęła i znikła. Nie można ich było policzyć, tak szybko wdarli się po pierwszym — wszyscy już być musieli między wałem, a gromadą ludzi co ich czekała. Oddzielało ich od zaczajonych, może sto kroków tylko, a tę szybko przelecieli zbójcy, i oparli się właśnie o linję na której stał Hryć. Jednooki idący przodem podstąpił tak blisko starca, że ten

poczuł oddech jego ciepły trunkiem; zerwał się na nogi i przyłożył mu lufę do piersi wołając: — Baczność od wału!

Wśród ciemności kilka strzałów ognistemi pasami przerznęły się w różnych kierunkach, ludzie na rozkaz Hrycia ścisnęli się kołem, kilku jęknęło, ale niepodobna było swoich rozróżnić od napastników, zamieszanie stało się niewysłowione.

Głos Hrycia kilkakroć dał się słyszeć górując nad wrzawą i umilkł nagle przerwany jękiem. Trudno opisać co się tam działo, tak noc niepodobną czyniła i obronę i napad. Zbójcy wprawniejsi, kupą się jeli i widząc ogrom ludu, poczęli cofać ku wałom, ale tu szereg nowy zaskoczył im drogę; chcieli strzelać, zabrakło im nabojów i czasu do przygotowania strzelb na wiatr wypróżnionych. Ludzie ze Starego, jakkolwiek gorliwi, nieumieli sobie dać rady, cofając się przed wściekłą obroną bandy Jednookiego. Sam on dowodził teraz odwrótem, w zębach trzymając nóż, w rękę strzelbę i kolbą jej roztrzaskując głowy...

Kupa zbójców niedawła się ująć, ale i

uciec nie mogła; dworscy tylko strzelali do niej i coraz to przekleństwo z krzykiem dało się słyszeć z pośrodku napastników.

Nareście Jednooki rzucił się na wał pierwszy, chcąc koniecznie przebić — i strzał kucharza, który się na niego zaczął położyć go trupem. Widząc upadającego naczelnika, łotry zaczęły wołać przebaczenia.

— Rzućcie broń! — dał się słyszeć głos Hrycia osłabły, — na kolana! wiązać ich! Światła!

Posłuszni, bo znękani napastnicy popadali na ziemię, szczęknięły ich strzelby, krzyki rannych słyszeć się dały.

— Wszysecy na miejscach, ani się ruszyć! dodał starzec znowu — Jeden po światło!

Milczenia chwila która nastąpiła, była tylko przerywaną jękami, z rozmaitych stron słyszeć się dającymi i przekleństwami zbrojów. Latarnie wreszcie pokazały się ode dworu i dwóch ludzi nanieśli słomy i gałęzi, by stos z nich pod drzewami naprędce rozpalić.

Pobojowisko oświecone pierwszemi blaskami płonącego ognia, okropny widok przedstawiało. Z jednej strony jęczeli ranni wie-

śniacy, których kilku ciężko było pokaleczonych i Hryć sam z przestrzeloną ręką leżał na ziemi; w pośrodku, banda zbójców cisnęła się do koła trupa leżącego na wznak z nożem w zaciśniętych zębach, z straszliwie wytrzeszczonemi oczyma, z strzelbą potrzaskaną w rękę. Było ich piętnastu tylko, gdyż reszta w zamieszaniu umknąć potrafiła niepojętym sposobem; z tych, ośmiu rannych leżało krwią się brocząc, reszta jak wilcy spoglądali ciekawie, złości pełnym wzrokiem na to co ich otaczało. Ujrzeni ogromne koło ludzi i jękli.

W tém jeden z nich zdał się coś szeptać do swoich, poruszyli się nieco... chłopci którym już głos Hrycia zemdlałego od utraty krwi nie przewodniczył, poczęli się rozsypywać powoli... garstka zbójców w mgnieniu oka porwawszy ciało Jednookiego chwyciła się z ziemi i rzuciła na wał.

Krzyk i wołanie i strzały znowu... ognisko niepodsycone zagasło od deszczu, a banda już na drugą stronę wału się dobywa... Rzucili się za nią ludzie zapalczywie chwytając zbiegów, ale trzech tylko co niesli Jednookiego, dostali się w ręce gromady, reszta

rozpiezchając się po gąszczy która okrywała tamtą stronę wału, rozerwawszy baczność nieprawnych do ścigania ludzi, uszli.

Wszakże zwycięstwo zostało przy męźnych wieśniakach, ale drogo okupione, Hryć leżał ranny mocno, oprócz niego kilku było postrzelonych i pokaleczonych. Ci jednak nie jężeli nawet zobaczywszy starca omdlałego i wszyscy z wyrazem troskliwości nieopisanej otoczyli go kołem, narzekając w ten sposób poetyczny i śpiewny, co z każdego lamentu wiejskiego, czyni liryczną pieśń boleści. U nich każde żywsze uczucie tak jakoś naturalnie, mimowolnie w jęku w śpiew przechodzi, że widzisz zdumiony jak pieśń i poezja na ziemi powstały. A! zrodziła ją naprzód boleść i pierwsza musiała być krwawym płaczem, bo nie tak duszy niepodnosi jak cierpienie. Hryć otworzył oczy, pokropiony wodą, podniósł się na zdrowej ręce i zawołał niespokojnie: — a zbójcy!

— Ojcie, — odparł Hruzda młody — trzechśmy wzięli, a Jednooki zabity.

— A reszta.

— Uszli... — smutnie i cicho dodał któryś.

— Ha! dobrze i to moje dzieci, — rzekł Hryć — niechże mi który rękę opatrzy... zawołajcie bab, bo one do tego najwprawniejsze, ale dowleczcie mnie do chaty, tam ja sobie lek znajdę. Ale nim co będzie, pokażcie mi tych zbojów.

Otworzyło się koło otaczające Hrycia, a on ujrzał leżącego na ziemi trupa ogromnego mężczyzny, ubranego i uzbrojonego jak zwykli chodźć Opryszki. Na srogiej jego, ogorzalej i ogromnym czarnym włosem okrytej twarzy, widać było jeszcze zastygły wyraz złości i siły. Oczu miał dwoje mimo nazwiska swego, ale z nich jedno bielmem okryte było i tём straszniej z trupa patrzyło. U nóg jego siedziało związanych trzech zbójców, z zaciętymi ustami i ponurą twarzą. Jeden z nich zwrócił się do Hrycia, zmarszczył brwi i srogo spójrzył.

— Cośmy wam przewinili? — zawołał stary — żeście nasz dwór zniszczyć chcieli, mało jeszcze narozlewaliście krwi i napalili sioł.

— Milczałbyś brodaczu, — warknął zbój — nasze to życie, a co ci do tego! zrobicie z nami co zechcecie! a z wami robi brat Jedno-

okiego i pozostałe dzieci, czego się niespodziewacie... Popadliśmy, ale to nie koniec.

— Zobaczymy! — z udaną odwagą rzekł Hryć.

— A! zobaczymy! — powtórzył rozbojnik szydersko. Jednookiego śmierć nie pójdzie wam płazem! Jest nas dosyć bez trzech co ich macie w rękę i czwartego co leży na ziemi...

Ludzie słuchali, i nikt więcej nie odpowiedział, więzien spuścił głowę i począł płakać. Łzy to były tak dziwne, że Hryć uczuł je w sercu; wszyscy zdumieni się z kąd wypłynąć mogły... a któż wytłumaczy człowieka?

Rozstawiwszy strażę do koła dworu, co pogróżki czyniły koniecznym, Hryć sparty na ramieniu Janka powłókł się do swojej chaty, aby tam rękę przestrzeloną opatrzeć; zasiadł na ławie wśród lamentujących bab, kazał sobie podać z komory masę, którą sam na podobne razy przygotował, gdyż był i lekarzem wioski, i rozpoczął z wesołą twarzą bolesne pierwsze obmycie; stary ani syknął gdy mu flejtuch i sukno kulą białą nie głęboko wyciągano, sam wskazał jak przemyć i pomógł

obwiązać. Zaledwie to dokończonem było, gdy w okna chaty uderzył blask krwawy, Hryć porwał się przerażony, dwór się palił!

— Do dworu! — zakrzyczał biegnąc ku drzwiom — do dworu wszyscy ratować, to zemsta zbójców! Uderzyć we dzwony kościołka!

Ale już drogą ku zamkowi szła śpieszno gromada cała, kobiety, dzieci kto żył, z krzykiem i płaskaniem w dłonie. Po nad lipami wioski płomień wznoszący się chwilami oznajmował że się dach pali... przybiegli gdy go już całkiem obejmowały płomienie. Ratować dworu nie było podobna, ale trzeba było ocalić mienie i resztę budowli. Hryć z wielką przytomnością zajął się znowu rozporządzeniami, a wieśniacy z gorliwością podwojoną spełniali każde jego skinienie. Wynoszono wszystko co się wychwycić dało, sprzęt nawet, okna, drzwi i ze składów rzeczy mniej cenne co chwili wyrzucano na podwórzec. Sufity zawalać się zaczynały, gdy resztki wyrwano jeszcze... nic nie zgorzało prócz starego dworu, ale sam dwór był drogą pamiątką dla Marji, a żaden pałac zastąpić go nie mógł. Ka-

zdy tam kątek przypominał chwilę jakąś, do każdej izby przywiązywało się dawne podanie dziadowskie, a w pokoju Joachima ostatni ślad znikł jego życia. Wiedział Hryć jak strata starego domostwa dotknie Marję, i ze łzą w oku spójrzał na zgłiszczę dogorywające; ale płakać nie było czasu, deszcz wilżył wyratowany sprzęt, trzeba go było unieść i zachować do pustego skarbcu, który się teraz bardzo przydał.

Cokolwiek wolniejszy, niedbając już że i blizka oficyna płonęła zajęta, gdy dwór ratowano, Hryć pomyślał o potrzebie uspokojenia swęj pani; pomimo dolegającej rany, kazał sobie podać konia i pośpieszył do Ładowego gaju.

Kilka razy jeszcze w drodze siwą głowę odwrócił ku dworcowi, który dymił z daleka, jakaś myśl ciężka ucisnęła mu serce, tęskno spuścił głowę na piersi.

— Gdzie ją teraz poprowadzić? — rzekł do siebie — do Starego nie rychło będzie mogła powrócić, nie ma gdzie tam głowy położyć; a dwór nowy chyba za rok stanie... tak! po-

jedziemy do miasta. Stasiowi to nie zaszkodzi, i od Juljusza nas uwolni.

Pocichu wszedł do pieczary, w której głucho panowało milczenie, świeca dopalała się gdzie ją postaviono, Staś spał na paprociowym posłaniu. Marja się modliła spoglądając na niego, a Juliusz oparty na strzelbie jak posąg, skamieniały wlepił w nią oczy i zeshłupiał uwielbieniem.

Jedno wejrzenie na niego przekonało starca że nieuchronna konieczność co go zbliżyła do Marji, rozplomienia na nowo, milczącą namiętność. Wszyscy rzucili się ku niemu i wdowa pierwsza zobaczyła rękę na czerwonym pasie zwieszoną.

— A! tyś ranny mój opiekunie! — zawołała — mów, mów, co się stało! tyś ranny dla nas! Jakże ci to zawdzięczyć!

— Rana ta nieznacząca. — uśmiechając się odpowiedział wieśniak — dzięki Bogu wszystko dobrze. Jednooki padł zabity, trzech z jego bandy złapaliśmy, kilku ranionych, reszta uciekła.

— A z ludzi naszych nie zabity kto uchowaj Boże? — troskliwie spytała kobieta.

— Nikt, kochana pani, nikt, choć przeprawa była ciężka, — dodał po chwili — złapani bronili się wściekle! I pomścili się niegodni śmierci swojego herszta.

— A! co się stało? dwór! [dwór! — z przestraciem łamiąc ręce spytała wdowa. Hryć smutnie spuścił głowę.

— Tak jest pani, rzekł, zgadło serce twoje, dwór się spalił... ale co było w nim wszystko uratowali, szpilka ci nie zginęła.

Pomiarkowała Marja że zbytnia żałość w obec takich poświęceń ludu, byłaby dla niego boleśną jakby wymówką, i choć ją ta strata ciężko dotykała, zamilkła.

— A! wola Boża, — odpowiedziała z cicha — ale gdzież się podziemy teraz...

— Namyslim, postanowim, — rzekł stary, nie straszaj się pani. Tymczasem pogroźki reszty zbójców nakazują nam ostrożność, trzeba tu jeszcze pozostać na dni kilka.

Juliusz stał milczący w ciągu téj rozmowy, zdawało się że uczucie wezbrane mowę mu odjęło. — Chodź pan, — rzekł stary do niego — możesz do domu powrócić, nie ma już potrzeby straży, bo tu niema niebezpieczeństwa.

— O jabym tu został wieki! — szepnął od-
dalając się niechętnie — pozwól mi pilnować
jój jeszcze...

— Nie! nie! jedź pan do domu, ja zo-
stanę na straży sam, ludzie są dworscy, a
panu dłużej tu bawić niebezpiecznie. Jeśli ze-
chcesz powrócić... dowiedzieć się... znajdziesz
nas tu za dni parę. Ale ci nie radzę, — dodał
poważnie i smutnie — pomnażać sobie cier-
pienia widokiem kobiety, która cię kochać nie
powinna i nie może! Jedź! i niepowracaj, to
rada przyjaciela.

— Przyjaciela? — z gorzkim uśmiechem
spytał Juljusz boleśnie zrażony.

— Przyjaciela, lekarza, co ci gorzki po-
daje napój, by może wybawić od najstraszniej-
szej choroby, od rozpaczyl!

— Myślisz żem przez tę jedną noc kontem-
placyi, milczenia, nie nabrał już tyle ile po-
trzeba na całe życie męki?

— Szaleńcze! szaleńcze! — odpowiedział
Hryć — idź jeśli ją istotnie kochasz, chceszli
i jój zatruć życie, jak zatrułeś sobie?

I podał mu dłoń drżącą żegnając, Juljusz

ją pochwycił w milczeniu, uścisnął i żywo za-
rzuciwszy strzelbę na ramię, w las uszedł.

Stary popatrzał za nim tym wzrokiem li-
tości, który zdaje się w sobie zawierać mo-
dlitwę. dotąd trzymała go na nogach powin-
ność, uczuł nagle osłabienie, i osunął się po-
woli na trawę. Sen skleił mu powieki znużo-
ne, gdy słońce wschodzić poczynąło nad po-
gorzeliskiem Starego. >



Nazajutrz Julusz wybladły, zdyszany, jak gdyby na chwilę nie spoczął i błakał się tylko po lesie, zjawił się u whijścia pieczary, u której siedział Hryć poglądając na las oświecony blaskami cudnie rozwieszonymi wśród zieleni, i wdzierającemi się w gęszcze, od płonącego zachodu nieba.

Spójrzał na niego stary, przeczytał co przecierpiał młody człowiek i wwiódł go milczący do pieczary.

Julusz spodziewał się tu znaleźć Marję, i niespokojnem okiem poleciał aż w głąb czarnej podziemia, ale się zawiódł, Marji nie było, brat przyjechał po nią i wywioził z sobą do Sasowa.

Nie rzekł i słowa młody człowiek, usiadł tylko na bliższej ławie i zdawał się gwałtownie walczyć z sobą; Hryć udawał, że tej walki nie postrzega, począł mówić o rzeczach obojętnych i nie dopuścił mu nawet wspomnieć Marji. Wczorajsze wypadki obfitego rozmowie dostarczały wątku; ale Julusz rozgadać się nie dał. Po półgodzinném milczeniu wstał, ścisnął rękę starca i odszedł.

Kilka dni upłynęło, gdy dwaj przyjaciele znowu się spotkali w parowie do pieczary wiodącym; Hryć często tu przebywał, Julusza ciągnęło wspomnienie, do którego potęgi przyznać się nie chciał. Udawał prostą ciekawość.

Ale na ten raz, jakby jej rozumieć nie chcąc, Hryć go nawet nie wprowadził do wnętrza; usiedli na obrywie gliniastym.

Młody człowiek spokojniejszy zdawał się nieco, a więcej jeszcze grał spokój, by się mniej niebezpiecznym pokazać. Poczeli mówić o rzeczach obojętnych, Julusz wskazał pieczarę.

—Tyś mi wszystkiego nie powierzył przyjacielu,— rzekł powoli,— przebyłem pamiętną

dla mnie noc pełną widzeń niebieskich w tém podziemiu, a pewien jestem, że go nie znam wcale. Nie odkryjeszże mi jego tajemnic? Pieczara ta widocznie ciągnie się dalej, widziałem cię chodzącym w głąb i wynoszącym różne sprzęty, które zdradziły, że tam coś więcej nad puste lochy być musi. Powiedz mi, czy jeszcze nie zasłużyłem na wiarę u ciebie?

Juljusz to mówiąc, miał na celu do Mariji się zbliżyć, nie wiedział o jej odjeździe do Sasowa i sądził, że starzec ukrył ją w głębinach niedostępnych podziemia.

—A gdyby— odparł uśmiechając się Hryć,
—tajemnica, jeśli jest jaka, nie była moją? chceszże uczynić mnie zdrajcą?

—Dla czego nazywasz to zdradą?— odparł żywo Juljusz,—czyż dawne i nowe stosunki nie połączyły nas z sobą na wieki? Jestem ci obcym? mogeż tobie lub twoim być nieprzyjacielem?

Starzec popatrzał długo na Juljusza ze smutkiem niewymownym, zdając się czytać w twarzy jego, i odrzekł po chwili namysłu.

—Prawda,— myśmy zdawna połączeni z sobą, winienem ci zaufanie, boś na nie za-

służył umiarkowaniem, zwycięstwem nad sobą... będziesz wiedział co chcesz wiedzieć. Ale niech ci się nie wyobraża, żeby to co ci się może marzyć ciekawém jakimś odkryciem, zaspokoilo rozbudzoną wyobraźnię twoją. Stare to tylko pamiątki przeszłości z czcią dochowane do dziś dnia.

—Chcesz wiedzieć i widzieć wszystko? posłuchaj więc naprzód.

Stare, wieś nasza w tych wiekach o których nie mówią dzieje wasze, których zaledwie się domyślacie, tak dla was nie podań zerwana, było znaczną bardzo lechicko-słowiańską osadą. Dawały jej znaczenie szczególniejsze dwie większe świątynie, dwa źródła za święte uważane, dwa Bugaje — i kapłani pilnujący przy nich grobów i ołtarzy.

Zameczysko było naówczas mieszkaniem możnych książąt, panujących nad obszerną krajem przestrzenią. W miejscu które się dziś jeszcze zowie Lelową Kontyną, stała jedna świątynia, druga na tym okopie w Lelowym gaju. Przy tym strumieniu co płynie u stóp pagórka, odbywały się zapomniane dziś obrzędy pogańskie praocjów naszych.

Może te dwie świątynie, zbiegowisko ludu do nich, może inne nieznane nam przyczyny, wyrobiły w osadzie Starego takie zamiłowanie wiary i przeszłości, jakiegoby już próżno szukać gdzie indziej. Nie wiem wiele wieków upłynęło od owych czasów, a one nam są jeszcze tak przytomne, a myśmy jeszcze tak z niemi związani, jakby się to wczoraj działo, jak gdyby jeszcze nie zarosły mogiły tych, co nam przekazali drogę i wielkie wspomnienie po sobie.

W rodzinie naszej, było dziedzictwem pierworodnych kapłaństwo świątyni Ładowej;—mój praojciec, ostatni stróż jej, zginął sam nożem ofiarnym bóstwu swemu; zabiwszy się na obiatę, gdy ujrzał że krzyż Chrystusów starą wiarę zniszczyć musi. Wielu z braci jego dali się umęczyć za fałszywe bogi swoje, w których czcili ojców wiarę. Wspomnienie chwil walki trwa jeszcze do dziś dnia u nas przytomne. Syn ostatniego kapłana, po wywróceniu Ładowej Kontyny w gaju, uważany był przez gromadę Starego za jego następcę, i tajemnie dzieci po rodzicach dzie-

dziczyły pamiątkę dostojności, a z nią pewną władzę nad ludem.

Wieków potrzeba było, żeby się tu prawdziwa wiara zaszcześcić mogła, i do dziś dnia obok niej trwa poszanowanie dawniej, trwa cześć jej wspomnienia. Z ojca na syna spada dotąd w mojej chacie, niejako kapłaństwo przeszłości, a jam dziś ostatni może bo bezdzietny wieków spadkobierca. Smutne to zwierchnictwo, smutna władza nad mogiłami, nad tajemnymi obrzędami, nad łzami które ukrywać potrzeba, bo się do nich przyznać nie godzi.

Ta chata którą widziałeś może na wzgórzu, stoi na straży najstarszego słowiańskiego smętarzyska, gdzie jeszcze na stosach palono trupy, gdzie na każdym prawie kroku rozgniatasz gliniane popielnice, kości niedogorzałych, łez zaschłych i smutnych zabawek dziecięcych pełne. Drugie późniejsze zgłiszce leży w dolinie, przy dawniej Kontynie Lelowej. Ja znam każdy ich kamień, każdą mogiłę widoczną i niedójrzaną, każdy dół grobowy, i powiedzieć mogę jeszcze czyj rodziny spoczęły w nim kości. Uczyłem się te-

go od ojca w dzieciństwie, przypominałem po powrocie.

Chrześcijański teraz lud wioski naszej tęskno nosi żałobę po dziś dzień za swojemi bogami; nie czci ich już, ale się jeszcze nie umiał rozbratać z niemi. W dzień wspomnienia zmarłych, na Dziady, przypomina on i zmarłych swoich i zniszczone bogi; wywołując je żalem jednym. Nawet mogiły praojców postroił krzyżami, żeby je uświęcić, a Ładowy Gaj i Lelową Kontynę krzyżami także ostatek, by się mógł tam modlić, gdzie się modlili dziadowie.

O! piękna i wielka jest ta cześć podań przeszłości, ten pośmiertny związek z duchem ojców, który świat rozszerza otwierając wrota do bezdennych zamierzonych wieków co nas poprzedziły i usłały nam drogę trupami swemi. Ja niepojmuję nawet, jak bez tego związku ze światem duchów żyć można.

To mówiąc, starzec wprowadził Julusza do pieczary, zapalił świecę w milczeniu i poprowadził go z sobą jednem z przejść podziemia, węższem i więcej bryłami gliny i gałęzi zawałonym od innych. Długa a wązka szyja

kilka razy skręcała się przed niemi i rozdzielała na kilka lochów w różne idących strony, rzucili w prawo i w lewo szersze i węższe izby wykute w ziemi, nareście przedarłszy się przez nawał suchego chrustu tarnowego, stanęli u drzwi dębowych, które prosta drewniana ale misterna zamykała kłódka.

Siekierą chyba mógł ją nieznający sposobu otworzyć.

Z podnieconą do najwyższego stopnia ciekawością i trochę nadziei widzenia Marji, wszedł Julusz za starcem do wynioslejszej sklepionej pieczary, pod samą dawną znajdującą się świątynią. Była to jaskinia kulista prawie, dwadzieścia kroków może obwodu mająca, sparta w pośrodku na jednym ogromnym słupie, od którego łukami rozrastało się dosyć kształtnie wyprowadzone sklepienie. Widok jej, przy słabym migającym blasku świecy, wyrwał mimowolny okrzyk podziwu z piersi młodego człowieka, tak to co tu ujrzał niepodobnem było do niczego widzianego w życiu.

W słupie olbrzymim, wydrążonym głęboko, na pniu ogromnego dębu, wznosił się bałwan kamienny, nieforemny, ale z dziką wy-

razistości pełną fantazją wyciosany. Nie było w nim sztuki, ale to co sztukę tworzy, uczucie — ręka co go wyrobiła, czuła potężnie myśl którą wyrazić chciała, i przelała w le-dwie ociosany głaz, piętno siły która tworzy Ład i trzyma świata porządek.

Takie było pogańskie Ładu pojęcie, a ład ten zapomniany, wszystko ładne czynił bowskiem niejako, wznosząc piękność do przymiotów bóstwa i łącząc ją z porządkiem, bez którego niema wdzięku... Ład więc był dla nich źródłem piękna i zasadzał się na pewnym prawie, brak jego stwarzał co *nieładnem* i *bezładnem* było. W tych wyrazach dziś machinalnie powtarzanych ile jeszcze myśli się kryje! Nieładne już się poprawić nie mogło, w bezładzie były pierwiastki Ładu! Lecz wróćmy do bóstwa i świątyni.

Prostemi rysy natchniony wieśniak wykuł swojego boga, ale ta bryła dziś jeszcze mogła zdziwić i przerazić. U nóg bóstwa był ołtarz kamienny wsparty na kościach zwierząt foremnie ułożonych przy podstawie — naczynia ofiarne stały do koła. Sprzęt ten odwieczny z miedzi i srebra wykuty, uderzał

kształty dziwaczne, które jakieś znaczenie wotalne mieć musiały. Były to głowy baranów, paszcze dzików, dzbany w postaciach węzów, zmij, smoków i potworów; znać ręka pieczołowita o zachowanie, ocierała je ze rdzy i pyłu, bo błyszczały jakby ich wczoraj używano, i polewa wieków osiąść na nich nie miała czasu.

Na wierchołku ołtarza dwa noże ofiarne miedziane, grubym pyłem przysute, nietknięte widać, rdzą zjedzone, spoczywały nieporuszone od lat kilkuset; rękojeści ich oprawne były w róg i drzewo.

Do koła po ścianach wily się nieprzeliczone rogi zwierząt, poplątane i tworzące rodzaj sieci misternej sięgającej sklepienia. Z nich także wyrobiony świecznik zwieszał się na żelaznym łańcuchu przed bożyszczem. Ale co najwięcej uderzało, to we wgłębieniach do koła pieczary wyrobionych, stojące na podstawach kamiennych skelety.

Niektóre z nich jeszcze się trzymały oparte o ścianę; na tych, szmatami zbutwiałymi wisiały sukien reszty zczerniałe, inne rozsypując się opadły, zsunęły i leżały kupą białą

kości. U kilku głowy tylko stoczyły się pod nogi, na skroni ich jeszcze znać było zeschłe wieniec z liści dębowych; które ręka pozniejsza odnowić musiała. Dziwne postaci tych kościotrupów, krąg ich otaczający bożyszcze, przejęły trwogą chwilową Juljusza; podniósł głowę, i z podziwieniem ujrzał dopiero nad kamiennym bałwanem u słupa zatknięty w górze błyszczący złocisty krzyż.

Tym krzyżem zwyciężkim, biedni czciciele pamiątek, chcieli uświęcić westchnienie za przeszłością.

—Ty tu wchodzisz ciekawy i trwożny,— rzekł w tej chwili Hryć, ja ze łąą i uszanowaniem; to są dziadowie moi. Patrz! oto ostatni kapłan naprzeciw ołtarza, jeszcze białym uwiniony rantuchem, u nóg jego leży dębowy wieniec, który składamy w każdą rocznicę jego śmierci, na każde zielone święta. Maim i ten grób wówczas żywotem przypomnień! Za nim szeregim dziadowie, pradziadowie, praojcowie nasi, zajęli miejsca do koła i oniemieli stoją wierni swemu ołtarzowi, nad którym dziś błyszczy zwyciężki krzyż. —Macież wy, w swoim dzisiejszém

społeczeństwie wyższe i silniejsze uczucie wiary i cześć przeszłości? możecie się pochłubić jak ten lud ciemny, równą potęgą i wytrwałością charakteru. Myśmy zrozumieli instynktowo, że doskonalenie się każde spoczywać musi na tle własnej przeszłości; wyście tę przeszłość częścią sponiewierali, częścią się jęj zaparli.

—Niestety! tak jest! smutnie odpowiedział Julusz — olbrzymi już spoczęli w mogiłach.

—A dziś-że olbrzymy już byby nie mogły? — rzekł Hryć siadając na szerokiej ławie kamiennęj naprzeciw bożyszcza, i wskazując miejsce obok siebie Juluszowi.

Ze wzrokiem ciekawością zapalonym, na chwilę zapomniawszy nawet Marji, oglądał się młody człowiek — Hryć mileżał.

—Pamiętasz,— odezwał się po przestanku, ten wieczór niedawny, gdyśmy się tu przed burzą schronili; mówiliśmy naówczas o oświacie ludu i jego podaniach.

—Pamiętam coś jak przez sen,— rzekł Julusz, dla mnie tyle wypadków i myśli i

uczuc nagromadziło się w tych dniach kilku, tyle w nich przeżyłem, przecierpiałem, przemarzyłem zwłaszcza, że mi się to zdaje wiekiem.

—Przecierpiałeś,— podchwycił stary, nie chwalcie się cierpieniem, bo stracisz całą jego zasługę, już nie cierpi, kto usta otworzył i jęczy, na to jest wyraz inny — boleje on! Cierpienie powinno być milczącym jak cierpliwość.

Pamiętasz może, ten wieczór i rozmowę naszą kochany Juljusz!

—Jak przez mgłę, jak przez sen, coś mi się przypomina.

—Mówiłem ci naówczas, że i lud ma starą oświatę swoją, pozostałość wieków niepoliczonych; nie mogłem ci jeszcze powiedzieć, że z kapłaństwem nie jedna tajemnica dla was i dla waszej nauki niepojęta i niezbadana, podaniem przelała się na mnie. Dla tego, że je posiadam, śmiało wierzę, iż nauka ludu prostego, jest pozostałością drogą wieków pierwotnych i wiedzy objawionej w nich ludziom przez Boga.

—Nie żartujże ze mnie, — rzekł Juljusz

z uśmiechem smutnym, wiesz że w cuda i tajemnice oddawna wierzyć mię oduczono.

—Was może, — przerwał Hryć, i wam wolno im zaprzeczać, boście się oddarli od Boga i od ziemi, od podań wiekowych i mądrości wlanej, dla wiedzy, którą zdobywacie mozolnie o własnych siłach; ale lud, ale my wieśniacy wierzym jeszcze w cuda i tajemnice; nie rozstaliśmy się z tym światem dziwów, dla tego, że go pojąć nie zdołamy. Ognisty miecz anioła nie wygnał nas z tego raju. Nie wszystkie ludu bajki, których słuchacie jak wyrojeń czczych fantazij, są dziecinnyim wymysłem, to co w nich dziś śmiech uczonych obudza jest często zabytą tylko i zakrytą prawdą. Owe ziele kruszące żelazo, owa woda ożywiająca, i złote jabłka czarnego bajek kraju, to dla was bajdy, a to może tajemnice nasze! Nie wszyscy znają je wieśniacy, ale są między nami, na których przelała się mądrość pradziadów, i co badacze dochodzą mozolnie, zdobywają po pruszyńce, to my hurtem odziedziczyliśmy w daremnej puściznie. Śmiejesz się? śmiech to niewiedomości i pychy!

— Czarodzieju mój, — tęskno odezwał się Julusz, dajże mi ziółko zapomnienia, daj mi napój coby serce uspokoił.

Dziecko! — rzekł starzec z cicha, wieszże ty, czy zapomnienie da ci szczęście? czy zobojętnienie uleczy z wiekuistych niepokojów? Myślisz, że ziemia matka co ma lekarstwo na wszystkie rany i boleści ciała, niema środków cudownych na uleczenie duszy? Myślisz, że nie kwitnie cudowny kwiat paproci dla mężnych w wigilją Kupały? Tym kwiatem jest potężna wola... I kwiat lubezyku co przyciąga — ofiarą i poświęceniem, i kwiat zimnej niepamięci....

— A! dajże mi go starcze!

— Nie! — surowo odpowiedział Soroka brew marszcząc siwą, nie — te kwiaty co może kwitną dla innych, nie są dla ciebie, tyś nie ten człowiek prosty a namiętny, którego leczyć potrzeba ziołami na serca choroby; tyś sztucznie stworzona istota w własne wierząca siły, lecz się męztwem i pracą i zwycięstwem nad sobą; dla nas co rozpaczać u-
miemy, których ból zabija jak żelazo, są zio-

ła cudowne, dla was ich niema, wyście przestali wierzyć w cuda.

— A ty niewierzysz cierpieniu memu? z dziwnym wyrazem rozpaczy porywając się zawołał młody człowiek wybuchając.

— Wierzę! wierzę! ale to nie pierwsze tego rodzaju cierpienie, nie pierwsza miłość, a cóż ręczy że ostatnia? Świat cię z niej uleczy szalem lub nasyceniem — idź do niego po ratunek.

To mówiąc uśmiechnął się Hryć i wskazał na drzwi, które Julusz przestał, i znowu poszli ciemnymi przejściami do pieczary. U jej progu ścisnęły się w milczeniu dłonie dawnych znajomych, czuć było w tym uścisku pożegnanie i choć słowa nie rzekli, starzec poznał, że Julusz nie wróci więcej do Starego.

Wiesz! wiesz! ale to nie pierwasz
tego robisz cierpienie, nie pierwasz nie-
-ciu jemu cię obawiać? Zwać cię z nie-
-ciu jemu cię obawiać? Zwać cię z nie-
-ciu jemu cię obawiać? Zwać cię z nie-

We dwa lata po opisanych wypadkach, je-
dnego poranka jesieni, przechodził koło tea-
tru hrabiego Skarbka, pięknie ale dosyć nie-
dbale, ubrany, smutnej twarzy młody czło-
wiek ze spuszczoną głową, z laską założoną
na plecy, ze wzrokiem wlepionym w ziemię.
Krok jego był powolny i zdawał się pochodem
bez celu, bez myśli przewodniczej — duma-
nie bezładne, urywane odwodziło go kędyś
daleko od miejsc które przebiegał nieprzyto-
mny. Na jego twarzy widać było ślady ja-
kiegoś głębokiego cierpienia z którym się już
zżył człowiek, brzemienia do którego cięża-
ru przywyknął. Wpadłe oczy, zgasły z po-
liczków rumieniec, zacięte usta, chmurne i

poorane czoło, świadczyły o zadawnionej nie-
uleczonej bolesti.

Z drugiej strony placu przechodził w tej-
że chwili z kilkoletnim chłopaczkiem, którego
wiodł za sobą, starzec z siwą brodą w pro-
stą chłopską czapkę, w bótach z czarnej gru-
bą skórą, z nieociosanym kijem w rękę. Dzie-
cie, które prowadził, troskliwie na nie co chwila
się oglądając, to mu coś tłumacząc, nie
wytwornie było ubrane ale z pańska, a sprze-
czność stroju przewodnika i chłopięcia tak by-
ła uderzającą, że wszystkich oczy zwracały
się na tę dziwnie dobraną parę, która nigdy
nad obecną chwilę, mocniej zastanawiać nie-
mogła. Nie jeden z przechodzących, już chciał
przeżalony krzyknąć widząc dziecię ślache-
ckie w rękę wieśniaka, nie jeden stanął i za-
patrzył się na to fenomenalne widowisko w kra-
ju podzielonym na nieszczęśliwe stronnictwa;
gdy starzec podniosłszy oczy przypadkiem,
postrzegł naprzeciw idącego powoli młodego
człowieka, zmierzył go wzrokiem ciekawym,
badawczym i żywo podszedł ku niemu.

— Julusz! wykrzyknął z uczuciem zbli-
żając się.

— A! to ty, stary mój nauczycielu, zawołał podnosząc głowę młody człowiek z radością jakąś smętną i trwożną, to ty—ale cóż porabiasz w mieście?

— Co robię? widzisz, znowum dobrowolny ze wsi wygnaniec! znowu tęskny więzień murów miasta — czyż niepoznałeś Stasia?

Dopiero teraz postrzegł Juljusz chłopczykę uśmiechnionego i zaczajonego za szeroką połą świty Hrycia, który wyskoczywszy nagle, rzucił się ochoczo w objęcia młodego człowieka, ściskającego sierotkę z niewymownym uczuciem.

— A mama? jak się ma mama? co u was słyhać w Starém? a niezapomniałeś ty o mnie?

— My z mamą razem tutaj we Lwowie, któren ja niebardzo lubię, odpowiedział Staś żywo, pierwszych dni tom się trochę ciekawił oknəm, a teraz to już wszystko jedno a jedno i nudno... Ot! chodź no pan do nas... my mieszkamy ztąd o dwa kroki... Mama tak będzie rada zobaczyć pana Juljusza!

Juljusz spojrział na Hrycia, ten milczał oczy spuściwszy, jakby zafrasowany.

— Chodź pan do nas! chodź bo proszę! powtarzało dziecię czepiając się sukni młodego człowieka, ja ciebie nie puszcę, musisz pójść...

Juljusz wahał się jeszcze.

— A więc chodźmy, — odezwał się nareszcie wieśniak — *ten raz*, wszak nas pan odwieźć możesz — dodał biorąc go za rękę — pokażemy ci nowe mieszkanie nasze i pogadamy chwilę, swobodniej niż na ulicy.

Zwrócili się razem wszyscy, a Staś polecił przodem do matki, żeby jej gościa oznajmić. Weszli do pięknego domu, którego całe jedno piętro zajmowała wdowa z synem i nauczycielem. Na progu przyjęła dziecię swe i z zadziwieniem postrzegła towarzyszącego mu Juljusza, któremu z okrzykiem szczerzej wesołej radości podała rękę.

— A towarzyszu złej chwili i pilny stróżu pieczary, — zawołała żywo — co ty tu porabiasz? niceśmy oddawna o tobie nie wiedzieli, znikłeś bez pożegnania i podziękowań naszych. Bawisz więc w mieście jak my?

— Ja, od wyjazdu ze Starego, ciągle jestem we Lwowie, — odpowiedział nieco po-

mieszany Juljusz — na wsi nie mogłem bawić dłużej... żyję tu, a raczej patrzę na życie dzisiejsze smutne, dziwne, z założonemi rękoma jak posąg... a pani?

—Ja! zawołała wdowa wprowadzając go do saloniku — ja jak pan widzisz musiałam się tu wynieść za radą Hrycia mojego pocziwego, bo w Starem póki dom stanie nie ma gdzie mieszkać, i zbójcy nam ciągle grożą! O! gdybym panu opowiedzieć mogła rozczulającą opiekę, troskliwość tych ludzi pocziwych, tych braci serdecznych, którzy jak widoma opatrność czuwają nade mną! Odbudowują już dwór i Hryć z uczuciem na które on się tylko mógł zdobyć, robi go tak do Starego podobnym, bym pomyliła się wchodząc i wzięła go za dawne pocziwe domostwo nasze! To piękna myśl jego. Pokój Joachima ustawim, urządzimy jak był za niego. Chciałam gdziekolwiek przytulić się w Starem i pozostać, ale dla Stasia musiałam pożegnać wreszcie mogiłę moją zieloną, miejsce tak dla mnie drogie, i wszystko co mnie do niego wiąże, i przyjechać w gwar miasta, w ognisko nieznosnej, dziękię walki... Stasia wycho-

wanie tylko sprowadzić mnie tu mogło, pocziwy mój opiekun podjął się nim kierować i — widzisz pan mnie tutaj!

To mówiąc westchnęła cicho.

—Tak! tutaj! — dodała — ale serce moje zawsze tam! i w pierwszej chwili wolnej powrócę do zielonych lip Starego, do ciszy naszej wioski, by resztę życia tam spędzić. O! tak mi już pilno do końca!

Juljusz spójrzył na nią: była w całym blasku młodzieńczej jeszcze piękności, piękności którą opromieniał spokój cnoty i cisza serca przejętego cierpieniem co już było do niego przyrośło; łzawe jej oczy nie straciły nic blasku, kibić giętkości, włos połysku, usta różowej swjej barwy; wydała mu się tylko trochę bledszą, bielszą trochę, jakby ją czas powoli z róży na lilję przekształcał. W oczach jego była idealniejszą jeszcze, zaświeciła mu promienistszą. Spójrzył i zadrżał, spuścił wzrok, zamilkł i obłok łez mignął mu przed zasłoniętą źrenicą.

— A pan? — spytała wdowa.

— Ja? czyż warto pytać o mnie? — cicho poszepnął Juljusz — ja żyję, męcę się,

patrzę i nie wiem czy co widzę. Życie mi zbrzydło, zczerniało, nie mam co z nim zrobić.

Hryć stojący z boku widocznie się oburzył.

— Jeśli człowiek nie wie co ma z życiem zrobić, jego to wina nie losu, — przerwał żywo, — zawsze jest co począć, byleby wola i siła. Nie mówcie tego Juluszu, to bluźnierstwo. Bóg nas nie stworzył na jaki bezsilne, ale na pracę w pocie czoła i serca: cierpieć i pracować.

— A kiedy sił braknie?

— Pracować na siły, one się zdobywają jak wszystko na świecie.

— A kiedy ludzie odepchną?

— Znieść i pracować na ich miłość!

— Miłość, — rzekł Julusz — albo się na nią pracuje?

— Wybo mnie rozumieć nie chcecie, — smutnie podchwycił Soroka — niema co mówić z wami, ot lepiej chodźcie dla rozveselenia zobaczcie pokoik Stasia i moją przy nim izdebkę, to was rozerwie, a ja się pochwalę. Chodźmy.

Dosyć niechętnie przystał na to Julusz,

a wdowa rzuciła za odchodzącym okiem ciekawej litości, uderzyła ją bowiem zmiana wyrazu zbolalej twarzy, i smutek który ją oblażał.

Zaraz przez sień, był wesoły Stasia pokoik, cały ubrany w zabawki i książki, w sprzęt studenta i dziecka, we wspomnienia wsi i lasów, w kwiaty, narzędzia gospodarskie, w mnóstwo fraszek prostych, które do nabycia jakiejś wiadomości, do jakiegoś wiodły zajęcia. Znać tu było że dziecię nie próżnowało i nie zamęczało się, że mu nauka nie będąc lekką, nie obarczała go jednakże, mieszaną z mnóstwem zajęć sposobiących zawczasu do czynnego życia. Tak obok książek i globusów, obok papierów i kałamarzy wisiało też siodełko, leżał rydelek i motyka, stały ogrodnicze, myśliwskie, rybackie i rolnicze narzędzia. Ogromny wyżeł powitał na progu wchodzących i polizawszy po rękę starca i dziecię, poszedł znów położyć się w swoim kątku. Drzwi na wpół otwarte wiodły ztąd do chaty Hrycia.

Tak! była to chata zrobiona z izdeбки umyślnie przebraną. Wszystko w niej przy-

pominało wieśniaka: proste ławy, stół dębowy, cebrazyk z wodą w kątku, na policach garnuszki i kobiałki, tapczan zamiast łóżka, świty wiszące na kołkach. Tylko wielki obraz na ścianie, dziwnie odbijał przy tém co go okrażało, choć prosta dębowa otaczała go rama. Był on jakby oknem, przez które mógł Hryć spojrzeć gdy mu się zrobiło tęskno, na Stare. Malarz utworzył precudny widok tej wioski, z chatą Hrycia na przedzie, z kościołkiem, zamczyskiem i sinemi w dali lasami.

— To pamięć o mnie dobrej mojej pani, to jej pieszczoty, — rzekł stary ze łzą w oku wskazując na to co go otaczało.

Dziecię pozostało ze psem i chłopakiem swoim towarzyszem w pierwszej izdebce. Juljusz usiadł na ławie obok Hrycia.

— A! srodzebo mi tęskno w tém mieścisku, — mówił Soroka — nie mój to świat, a przypomina mi długie lata cierpienia. Trzeba było takich obowiązków jak moje względem tego dziecka, bym tu mógł pozostać i wytrwać; ale też gdy Stasia w świat puszcze a potrzebować mnie nie będzie, o! jakże żwawo, pieszo, o kiju, do mojej chaty ucieknę!

Juljusz smętnie się uśmiechnął.

— Widzisz mój pocziwy nauczycielu, — rzekł, że są na świecie nieuleczone przywiązania jak twoje; i cierpienia na które niema ratunku.

— Przypomnij sobie kochany uczniu, że kto świat inaczej odgadł jak cierpieniem, ten go nigdy niepozna i niezrozumie. Właśnie w tém głównie bije w oczy boskość nauki Zbawiciela, że ona jedna cierpienie uświęca dając mu cel, i wskazując je jako przeznaczenie człowieka. Nowa filozofia która mu obiecuje postęp nieograniczony, aż do edeńskiego bytu, ludzi tylko i męczy, bo mu nie daje nic rzeczywistego a przyrzeka zbyt wiele. Cierpienie, jest złem dla zwierzęcia — dla człowieka jako ducha, jest stanem normalnym.

— A jakże w niem i z niem żyć?

— I tu Chrystus wielkim przewodnikiem naszym: cudze cierpienia słodzić, a swoje znosić, oto żywota całego zadanie. Gdyby świat był prawdziwie chrześcijański, gdyby był jedną owiec Bożych owczarnią, ciężar żywota nie byłby takim brzemieniem, wszyscy by starali się ulżyć bratu, a nikt nie myślał o so-

bie. Ludzie sami się dręczą i życie swe czynią nieżnośnem.

— Ale coż możemy przeciwko ludziom?

— Myśmy także częstką tej ludzkości, niech każdy myśli naprzód o swojej poprawie, więcej niż o sprostowaniu drugih i przeobrażeniu świata; ten rodzaj egoizmu jest mu pozwolony. Niech każdy poprawia siebie, a więcej jednym chrześcijaninem będzie na świecie.

To mówiąc wziął za rękę Juljusza.

— Tyś, — rzekł mu ciszej — bardzo się coś odmienił, wychudłeś, wybladł, posmutniał, co ci jest? przyznaj mi się szczerze, czy znowu miłość?

— Miłość, nie znowu, ale zawsze jedna!

— Jakto? — udając żart ozwał się stary — po dwóch latach też sama jeszcze?

Juljusz się oburzył.

— Raz tylko w życiu kochałem, — zawołał — widzę to teraz... i kocham...

— Bo raz tylko kochać można! — odparł starzec — ale tu, milczmy o tem, nie wymawiaj tego słowa, napróżnobyś zniepokoił ko-

biętę, która także raz tylko w życiu kochała, ale nie ciebie.

Umięj znieść swoje, byś drugim nie przyczynił cierpienia. Nie życzyłbym nawet żebyś nas odwiedzał, i dla ciebie i dla nas na złeby to wyjść mogło.

To rzekłszy wziął stary za czapkę.

— Pożegnaj Stasia, pojedziemy na przechadzkę na plantacye, tam się rozmówim swobodnie... ja cię przed nią wytłumaczę z nagłego zniknięcia.

Ze łzą w oku przygaśła, Juljusz jak dziecko dając sobą powodować staremu, pocałował Stasia i wyszedł szybko, z sercem ściśnionem. Już byli na progu gdy ich głos znany, ostatni raz brzącający w uchu młodzieńca, zatrzymał.

— Jakto? panowie wychodzicie? dokądżeto?

— Ja go przeprowadzę, — odpowiedział szybko uprzedzając Soroka — trochę się czuje niezdrowszy, potrzebuje powietrza i ruchu, przejdziemy się razem.

— Więc, do widzenia, — szepnęła Marja do widzenia.

Hryć ścisnął silnie rękę młodzieńca, który głosu w piersi na odpowiedź nie znalazł.

Wyszli, a Juljusz oczów już nawet podnieść nie śmiał na okna, z których może patrzyła za nim Marja, bo przewodnik szybko go wiodł ku plantacyom. Tu stanąwszy usiedli w cieniu drzew kilku na ławce ustronnej, i oba odetchnęli dopiero.

— Teraz, pomówmy otwarciej, obszerniej, odezwał się Hryć — kochany Juljuszu, widzę jak cierpisz, ale wolę byś od razu cierpieć silniej chwilę, niżbyś się daremnie uwodził próżną nadzieją, spokoj sobie i jej zakłócając. Ty ją kochasz...

— Dziś dopiero wiem znaczenie wielkiego wyrazu... miłość... Tak! kocham ją i na wieki!

— Nie myśl, byś zbliżając się do niej, zyskał co prócz podwójnego cierpienia; znam ją i wiem że nie złamie przysięgi, bo kocha swego umarłego i dziecię swoje, a w sercu jej nie masz próżni, którąbyś mógł zająć. Bóg, wspomnienia, dziecię, zapełniły je całkiem. Chceszże resztę życia spędzić trawiony tą namiętnością bez nadziei, bez przyszłości?

— Nauczcie mnie, co mam począć z sobą?

— Niestety! najmądrszy, w prostém, codzienném życiu ludzkim, nie znajdzie inną rady na cierpienie, nad wiekuiłą i jedyną! Gdy Bóg z raju wygnał człowieka, na srogą boleść téj chwili straszliwej, przechodzącą wszystko co kiedykolwiek ludzkość cierpieć może, dał mu przy karze lekarstwo. To odwieczne lekarstwo służy i dziś na wszystkie bolesti, a niém jest — praca!

Juljuszu, nie poddawaj się, otrząśnij i pracuj!

— Jak? — spytał naiwnie młody człowiek.

— Jak chcesz bylebyś pracował. Myślisz że i ja nié mam do dzwigania brzemienia mego i że go pracą nie słodzę? A oddalenie od wsi, w mojem krótkim już życiu, mnie tak do niej przywiązanemu? za nicze to masz? myślisz że ja nie kocham tego ziemi kęska, jak ty swój ideał? O! obrachowawszy się nie wiem czyjaby miłość potężniejszą się pokazała, bo nie ma poranku, żeby mi tu dzwony, nie zatętniły w duszy dźwiękiem mojego dzwonka, żeby mi wiatr co przynosi zapachy pola, nie ścisnął serca wspomnieniem wioski,

z której ta woń wzlatuje, nie ma ranka, żeby mi zieloność zlane rosą nie wyrwała ciężkiego westchnienia za lasami memi, co się tam stroją nie dla mnie, ale cierpię i pracuję i żyję.

— A! to co innego, ty masz przybrane dziecię, które ci staje za przyszłość, masz wdowę, masz nad nią opiekę, masz cel jakiś, a ja?

Ty masz daleko więcej, bo cały szeroki Boży świat przed sobą, i młodość w dodatku...

Juljusz spuścił głowę na piersi, uśmiechnął się, ale znać było że słowa te nie zasiały się w jego duszy, odbite od niej upadły marnie. Postrzegł to starzec i westchnął.

— Dopóki tu będziesz we Lwowie, — rzekł przerywając milczenie — przychodź codziennie wieczorem na tę ławkę samotną, spotkamy się tu z sobą, przyprowadzę ci czasem Stasia, będziesz w nim miał pociechę i rozrywkę, we mnie powiernika i doradcę...

— Dziękuję ci, dziękuję, — obojętnie rzekł Juljusz sciskając podaną rękę dłonią bez czucia — ja z sercem własnem walczyć nie umiem, czuję że ono mnie wkrótce pokona... którego dnia nie znajdziesz mnie tutaj, nie pytaj się

już o Juljusza, ale poszukaj świeżej mogiły na smętarni, i pomódl się z niemi razem za moją duszę.

To mówiąc powstał nagle i szybko nie oglądając się oddalił, niknąc w tłumie przechodzących.

Nazajutrz śpieszył Hryć wieczorem na umówione miejsce, nie bez wewnętrznego jakiegoś niepokoju, wyrzucał sobie nawet surowe, zbyt może ciężkie rady swoje...

Na ławce nie było nikogo, siedział i czekał do północy, Juljusz nie przyszedł.

Napróżno potem szukał go w mieście i dowiadywał się o niego, gdzie tylko miał nadzieję wieść jakąś pochwycić; nikt nie wiedział co się z nim stało. Tegoż dnia rano, wyszedł ze swego mieszkania i już do niego nie wrócił; rozesłali przyjaciele po okolicy, sledzono w mieście, ale nadaremnie.

Marji powiedziano tylko że do swęj rodziny odjechał.

KONIEC.

Huśin. — Wrzesień 1851.
Luty 1852.

MUSEUM
JIK
LIBRARY
2158

Dzieła J. I. Kraszewskiego

wydane nakładem i drukiem księgarni pod firmą

JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

ANAFIELAS. Pieśni z podań Litwy.

Witolorauda Pieśń pierwsza. Wydanie drugie przerobione i powiększone, z 50 drzeworytami oryginalnymi *Wincentego Smokowskiego* b. Prof. Malar. b. Ces. Wil. Uniw. i z muzyką do Raud i Piosenek niektórych, *Stanisława Moniuszki*. Wydanie nader ozdobne in 8vo.

Mindows. Pieśń druga. Wydanie bardzo ozdobne.

Witoldowe boje. Pieśń trzecia i ostatnia. Wydanie bardzo świetne, ozdobione ryciną na stali, wykonaną w Anglii, wyobrażającą bohatera Witolda w całej postawie, z obrazu oryginalnego w Nieświżu.

BUDNIK. Obrazek. Wydanie drugie, in 16. 1850.

IMPROWIZACYE dla moich przyjaciół. Książeczka do zapalania fajek.

OBRAZY z życia i podróży. 2 tomy, in 8vo maj., na papierze welinowym z 3ma litogr. rycinami.

OSTAP BONDARCZUK i JARYNA. Powieść. Wydanie drugie poprawne, 2 tomy in 12mo. 1851.

STUDJA LITERACKIE, 1 tom in 8vo, 18 arkuszy druku, zawiera następne rozdziały: I. Życie umysłowe. II. Nowa

Literatura. III. Formy — Język. IV. Pierwiastek narodowy w Literaturze dawniej. V. Archaizmy. VI. Pisarze i Czytelnicy. VII. O sławie pisarskiej. VIII. Podania gminu. IX. Historia. X. Poezja. XI. Przeszłość i Przyszłość Romansu. XII. Dramat. XIII. Literatura periodyczna. XIV. Krytyka. XV. Życie domowe kilku Pisarzy Polskich.

SZKICE OBYCZAJOWE I HISTORYCZNE:

CAŁE ŻYCIE BIEDNA. Powieść. Wydanie drugie poprawne. 1 tom in 8 maj.

MISTRZ TWARDOWSKI. Powieść. z podań gminnych. 2 tomy in 8vo min.

HISTORIA o bladej dziewczynie z pod Ostrzej Bramy. Powieść. STAŃCZYKOWA KRONIKA od r. 1500—1503. Szkic. Tom 1.

CZTERY WESELA z dodaniem Improvizacyi fantastycznych: Było nas dwoje. Powieść. 2 tomy ozdobione 3 rycinami.

POETA I ŚWIAT. Powieść. Wydanie drugie poprawne i powiększone. 2 tomy in 8vo.

OSTATNIA z Książąt Słuckich. Powieść. Kronika z czasów Zygmunta III. 3. tomy z 3ma rycinami in 12.

WILNO od początków jego do roku 1750. Historia tego miasta, zawierająca szereg wypadków, jakich ten starożytny gród Litewski w ciągu kilku wieków doznał, kolei, przez jakie przeszedł, i wszystkich najdrobniejszych szczegółów pod jakimkolwiek względem go dotyczących. Całe dzieło składa się z 4ch tomów in 8vo, około 110 ark. druku pięknego i wyraźnego obejmujących, na papierze welinowym, w ozdobnej okładce, z dawnym herbem miasta. Dodane do nich są portrety Królów Polskich, Wielkich Książąt Litewskich, widoki Świątyń, bram miejskich, grobowców, krajobrazów, w liczbie 20, i 2 plany, jeden z r. 1560, drugi w ogromnym arkuszowym formacie najdokładniej przez Inżynierów zrobiony z roku 1840. Z rycinami na papierze chińskim i z portretem Witolda na stali.

